

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET  
Z Salonu T. Z. S. P.

LUDOMIR JANOWSKI



W. MĘCZKOWSKI:

## Nerwowość polska.

Z POWODU I-SZEGO ZJAZDU NEUROLOGÓW,  
PSYCHIATRÓW I PSYCHOLOGÓW POLSKICH.

Ze wszystkich gałęzi wiedzy lekarskiej w Polsce może najwybitniej, a w każdym razie najbardziej swoiście zarysowała się i rozwinęła neurologia. Jest to wysoce znamienny objaw, mający głębsze swe przyczyny. Śnać obfity być musiał w narodzie materyał dla lekarza-observatora, skoro rozwinęła się ta właśnie nauka, poświęcona badaniu i leczeniu chorej duszy ludzkiej, oparta na studyowaniu przelicznych jej zbroczeń, związanych zazwyczaj z przeczułeniami i nadwrażliwością. Żadne bowiem cierpienia może nie są tak ściśle zależne od warunków życiowych, jak właśnie nerwowe.

Naród polski, który w ostatnich stu latach przeżył tyle załamań, tyle wstrząśnień, tyle okresów podniecenia, nadziei, a potem rozpacz, żył prawie stale w warunkach, nie sprzyjających zdrowiu nerwowo-psychicznemu. Zaledwie przeszła jedna burza i naród począł wzmacniać się na siłach, zjawiały się nowe fale, które powalały go ponownie.

To wieczne targanie, to ciągłe falowanie od wysokiego napięcia do rezygnacji, wszystko to, rzecz prosta, musiało się odbijać na stanie fizycznym przynajmniej większości społeczeństwa.

Jeśli neurolog bada choroby psychiczne, nie tracąc z oczu historycznego tła porzobiorowej epoki naszych dziejów, to musi dojść do przekonania, że pomiędzy jednymi a drugą ściśle znachodzi się związek, że na podłożu wypadków ostatnich stu lat cierpienia nerwowe bujnie krzewić się musiały.

Jednocześnie też warunki historyczne spowodować musiały specjalną, jedyną może na świecie, chorobę charakterystyczną polską: melancholię rozbitków politycznych, smutek ludzi, wytraconych z normalnych warunków życia narodowego, rzekłbym, patryotyczny Weltschmerz. Stąd wieczny stan niepokoju, stąd nieustanne, a pozbawione realnej podstawy marzenia polskie o pomocy Francuzów, o interwencji Europy, o czemś, co się stanie niewiadomo kiedy i gdzie, ale zawsze na naszą korzyść.

Lecz, niestety, zawsze bywało inaczej, marzenia rozbiły się o twardą rzeczywistość, by wszakże później w warunkach równie może niekorzystnych wybuchnąć ponownie.

Zresztą warunki ogólne sprawić musiały, że przez długie lata całe nasze życie duchowe rozkwitało nie tu w metropolii, lecz w koloniach emigracyjnych: w Paryżu, Genewie, Konstantynopolu i t. d.

Stąd też płynęło ciągłe odrywanie się od życia konkretnego, a oglądanie się w stronę, skąd miała zaświtać „jutrzenka nadziei”, a za nią „zbawienia słońce”. O równowadze duchowej w tych warunkach mo-

wy być nie mogło. Stąd ciągła rozterka wewnętrzna, szarpanie się, które przechodziło z pokolenia na pokolenie.

W tem zapewne tkwi przyczyna, dlaczego w poezji polskiej tak bujnie rozkwitł romantyzm i znalazł tak potężnych przedstawicieli: bo w duszy polskiej był romantyzm, i w duszy poetów, i w duszy tych, dla których oni dzieła tworzyli. Ślady romantyzmu wyczuwać się dają i dziś jeszcze u ludzi pozornie zupełnie zrównoważonych. Nieraz zdarza się widzieć, jak człowiek, realnie myślący, trzeźwo obliczający swe zamiary i czyny, ni stąd, ni zowąd dopuści się czynu, nie licującego pozornie z jego umysłowością: to mówi przez niego ukryte gdzieś w głębi odbicie dawnych wspomnień lub odziedziczonych właściwości, to jest skutek owej rozterki wewnętrznej.

A dalej wpływy te ogólne działają na liczne jednostki i w innym jeszcze kierunku.

Walka dla ukochanej idei, chociaż zwykle jest wynikiem naturalnej potrzeby, wprost konieczności dla jednostki, z drugiej jednak strony przynosi jej ciernie i męczeństwo. Liczne rzesze dla tej idei kładły w ofierze nie tylko życie swe, lecz, co może cięższe, zachowując życie, wiodło je w warunkach strasznych. Ileż to setek i tysięcy musiało uleść zupełnemu wykolejeniu moralnemu i materialnemu! Ileż to jednostek wytraconych zostało ze ścieżki życiowej! Iluż to powstało rozbitków życiowych, którzy po długim borykaniu się z losem wreszcie zostali powaleni!

Niema nieomal zakątka na świecie, gdzieby nie znajdowali się tacy nasi tułacze, zapędzeni przez złe losy na krańce świata, z dali od tej ojczyzny, której poświęcili niegdyś najlepsze swe siły.

Lecz obok tych tułaczy i rozbitków,



kryjących się po różnych częściach Europy, my tu, w kraju, liczymy wielu rozbitków moralnych, złamanych niepowodzeniem, a którzy, co najważniejsza, stracili wiarę we wszystko.

Życie takie czyż nie musi powodować ciężkiej swoistej neuropatii, przekazywanej z pokolenia na pokolenie? Grozę położenia powiększa jeszcze okoliczność, że czynnikiem tym podlegają u nas ludzie niemal od dzieciństwa. Już szkoła średnia, a nawet niższa wytwarza atmosferę, w której działają ogólne wpływy powyższe. Warunki szkolne to częstokroć wystawienie na ciężkie próby układu nerwowego dziecka, to znów to samo szamotanie się, które w młodocianym obywatelu wytwarza tę samą wewnętrzną walkę, jaką na szerszym nieporównanie tle przechodzili jego ojcowie i dziadowie. Młodzieniec po ukończeniu szkół wchodzi w życie już zmęczony, z potarganymi nerwami, a późniejsze życie czyni swoje dalej: zwykła walka o byt dopełnia rozstroju, który rozpoczęły anormalne warunki szkolne i dzieciństwo trosk i zawodów.

Obok tej neuropatii czysto polskiej występuje inny jeszcze czynnik. Współżycie z ludem żydowskim, który nigdzie tak gęsto nie osiadł, jak na terytorium dawnych ziem polskich. Tragiczne od wieków losy tego ludu, odwieczne tułactwo i warunki ogólne życiowe, w których pozostają Żydzi, wszystko to sprawiło, że jest to niewątpliwie rasa najbardziej może ze wszystkich neuropatyczna. Współżycie z tak neuropatycznym ludem nie może nie wywierać śladów na ludzie polskim. Bo, jakkolwiek wielka masa żydowska pozornie odgraniczona jest od ludności polskiej, jednakże musi się tu odbywać stałe przenikanie wpływów i rysów ludu żydowskiego, nieustanna impregnacja. Stąd też dla nerwowości polskiej przybywać muszą nowe wciąż soki, które ją podsycają.

Przy takim oto ogromnym materiale neurolog polski, nie mający w Królestwie zwłaszcza źródeł, z których gdzieindziej tryska nowa wiedza, mógł jednak nie tylko rozwijać się, lecz i stanąć na wysokim szczeblu nauki współczesnej.

Nerwowość polska, której specyficzne przyczyny zaznaczyliśmy wyżej, nie jest jednakże czemś niezmiennym. Skoro zniknąć będą czynniki szkodliwe, niewątpliwie i objawy nerwowości stopniowo będą ustępowały. Naród polski, który przetrwał najgorsze lata i w najfatalniejszych warunkach zachował się i wydawał najbujniejsze kwiaty literatury i sztuki, który nigdy nie upadł moralnie i nie spodił się i w najtragiczniejszych momentach niósł hasło „braterstwa i wolności ludów”, musi dojść do zdrowia fizycznego. Wierzmy głęboko, że ludzkość idzie naprzód, ku lepszej przyszłości. I ta głęboka wiara daje nam niezłomną pewność, że czynniki szkodliwe, które dotychczas wywoływały rozprężenie w duszy polskiej, stopniowo wpływ swój zmniejszać będą.

A wówczas ogół wróci do dawnego czerstwego i bujnego zdrowia z czasów polskiego renesansu, złotego wieku Jagiellonów, Kochanowskich, Rejów, Górnickich, Modrzewskich.





RYWALE (z wystawy S. P. we Lwowie)

A. AUGUSTYNOWICZ

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

## ŚPIĄCY RYCERZE.

NA SKALNEM PODHALU V.

...O zaśpiony rycérzak opowiadajom, ze majom być kajsi zaśpioni w Giewoncie. Konie hań stojom przy złobak, bo ig hań widział kowal, Fakla, co ig kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi, w Koście-liska hodziół kielka razy za jego zywo-bycia.

Jest hań grota niezmierna, ciémna, ino sie kaganki świcom po ścianak. Ci rycérze śpiom, a co dziesięć lat to nostarsy pomien-dzy niémi podźwiguje głowe i pyto sie ja-nioła, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytka rycérze podźwigujom głowy w hełmak zelaznyk, ale janioł odpowiadno:

— Nie. Śpijcie.

I śpiom dalej.

Nad niémi jest skała wielga i głęboko do ziemie trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi ino ten, co go janioł pilnujący po-wiedzie.

Jo se to nieroz myślał o tém i me-détujem se, a i Faklek znał i słyszałek, jako opowiadał.

Jo se to nieroz myślém i myślém se: moze to i być. Mozom być zaśpioni ry-cérze w Giewoncie, bo sytko w Boskiej mocy.

Ale se i to myślém kie niekie, ze wto wie, jako to? Cy som nie jest w naskik hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycérze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?...  
 MEDTBUŁ

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW:

## TARCZA. W ZBROJOWNI.

Hartowana ogniem na błękiecie,  
Wypieszczona tęczowemi skrami,  
Leżysz martwa, a przed tobą życie,  
I śmierć cicha krąży ponad nami.

Ani ciebie wicher chłosta i morze,  
Ani włócznią cię zapaśnik porze,  
W muzealnych zakątku cmentarzy  
Leżysz cicha i śmierć masz na twarzy.

Wyniosłbym cię, o tarczo, do słońca,  
Żeby ciebie paliło i piekło,  
Żeby w tobie krew zbudziło skrzepłą  
I tęsknotę pustyni bez końca.

I przychyliłbym ku tobie z drzewa  
Liście dębu, co z wichrami śpiewa,  
I skrzyżowałbym tobie na łonie  
Dwie śpiewacze, a męczeńskie dłonie.

Bowiem dusza moja jest spragniona,  
A ja nie wiem, kędy ją napoję;  
Może dębu cię zbudzi korona,  
Z ciebie martwej trysną życia zdroje.

Może zagrmisz, jak trąba Jerycha,  
Ty wzgardzona, pogrzebana, cicha,  
I w pierś wielkim mi uderzysz płaczem,  
A ja będę wiedział po co, za czem?

Przemawiały do mnie różne duchy  
Z ciszy niebios, z życia zawieruchy,  
Ale gdzież jest ta płomienna mowa,  
Coby pierś mą przekuła od nowa?

Przemawiały do mnie ludzkie losy,  
Kusząc serce szeptami anielskimi,  
Ale wicher je przybijał do ziemi,  
I strach śmierci dźwżył je za włosy.

Więc obmierzyły mi słowa człowieka,  
Innych głosów dusza moja czeka,  
Innym ogniem duch się we mnie pali,  
Łaknie słowa z żaru i ze stali.

Przeto ty dziś mów do mnie, o tarczo!  
Twego życia i twej śmierci cudem,  
Niechaj w łonie twem bębny zawarczą,  
Niech proporce powioną nad ludem.

Nechaj na mnie twa dusza zawoła,  
Opętana wichrem przez anioła,  
Niechaj w jasyr mię, wolnego, bierze,  
A w królewskość twej duszy uwierzę.





Władysław IV. Ryt. na miedzi J. van der Heyden. Podług Rubensa.

## Muzeum polskie.

Po macoszemu traktowane są u nas zabytki dawnej sztuki i kultury artystycznej. Czy trzeba wyliczać powszechnie znane przykłady wandalizmu w kościołach, pałacach, zamkach, wandalizmu, dokonanego nie tylko złą i obcą ręką, lecz spełnionego przez ludzi, którym przeszłość narodoła i jej widome szczytki przedewszystkiem winne być blizkie. Być może, iż jednym z powodów braku w Polsce powszechnej kultury artystycznej i zamiłowania w zabytkach dawnej architektury, malarstwa, rzeźby i t. p. jest ogólna nieświadomość co do skarbów sztuki, rozproszonych po rozległych obszarach ziem polskich.

Zgromadzić w dokładnem odtworzeniu najcenniejsze dzieła sztuki polskiej minionych stuleci, stworzyć prawdziwe muzeum polskie, w którym, obok rycerskiego korda i ryngrafu, znalazłyby miejsce podobizny najbardziej charakterystycznych gmachów, szczegółów, ornamentacyjnych, rzeźb, rysunków i t. d.—jest to zadanie wielkiej doniosłości kulturalnej i narodowej.

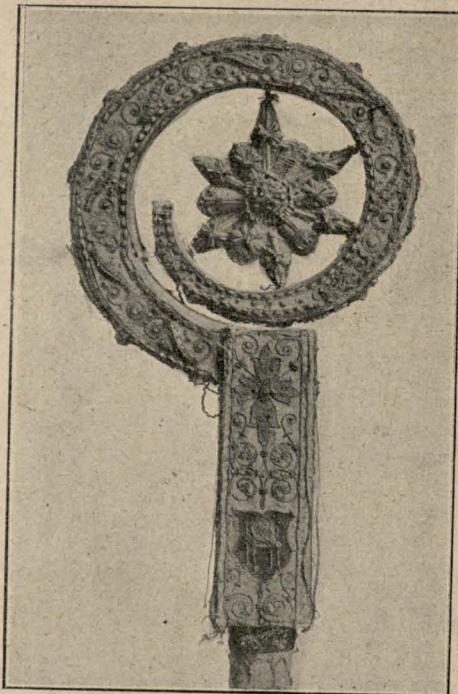
Czynione już były w tym kierunku chwalebne wysiłki, dość wspomnieć o wiekopomnem dziele Cerchy; w ostatnich czasach coraz częściej ukazują się monografie z dziedziny historii sztuki w Polsce; niedługo może zdobędziemy się na syntetyczną pracę o dziejach naszej kultury, pracę, której brak coraz jest dotkliwszy.

Próbą we wspomnianym zakresie jest album, zatytułowany „Polskie Muzeum” \*). Nazwaliśmy próbą przedsięwzięcie pp. Feliksa Kopery i Juliana Pagaczewskiego, gdyż jest to luźny zbiór



Zwornik z sali t. zw. hetmańskiej.

reprodukcji kilkudziesięciu zabytków, pochodzących przeważnie z Krakowa, zbiór niewątpliwie cenny i nauczający, zbyt jednak jednostronny—to jedna zaledwie „sala”



Pastorał opata Jana Ponętowskiego.

w „muzeum”—miejmy nadzieję, że „sal” tych będzie z czasem więcej, i że autorzy, cenieni znawcy sztuki polskiej, nie poprzestaną na



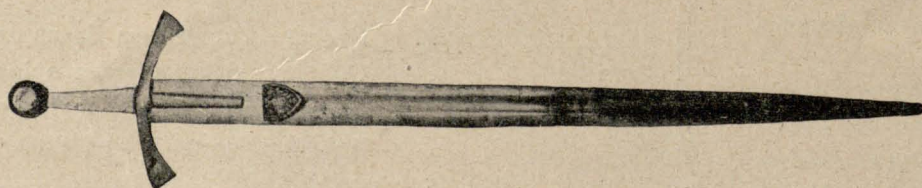
Motyw z Nieborowa. Rys. Aleksander Orłowski.

tym jednym albumie.

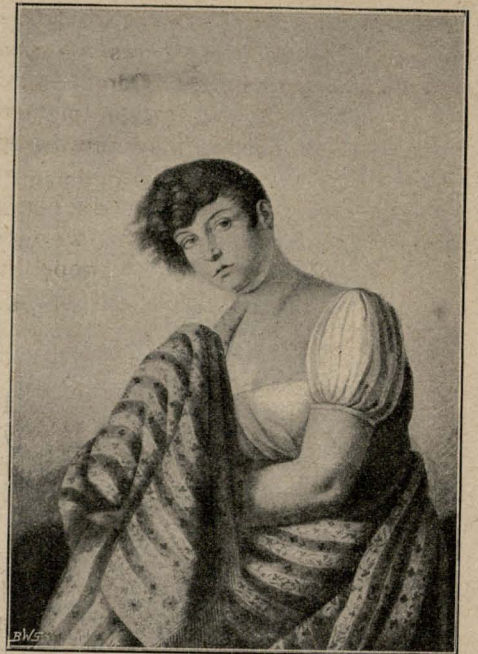
Tymczasem rozejrzyjmy się w pięknym materiale „Muzeum polskiego”, opatrzonym treściwymi rozprawami z zakresu historii sztuki.

Świetny rozwój architektury XIII i XIV wieku wpłynął również na rozwój rzeźby, która dzieła budownictwa uzupełniała i ozdabiała. Styl gotycki w całej swej wspaniałości pojawił się w Polsce w XIV wieku, lecz w rzeźbie nigdy nie doszedł u nas do takiego stopnia rozwoju, jak w Europie zachodniej i południowej. Pierwszym wspaniałym budynkiem gotyckim w Polsce była Katedra na Wawelu,

\*) F. Kopera i J. Pagaczewski: „Polskie Muzeum czyli zbiór sześćdziesięciu czterech podobizn naszych zabytków”. Kraków, nakładem St. Zarewicza i Sp.



Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich.



Karolina z Walewskich hr. Chodkiewiczowa. Rys. kredą J. Oleszkiewicza.

której budowę rozpoczął Władysław Łokietek; do budowy sprowadzono francuskich artystów i robotników. Rzeźby z czasów Łokietka nie mają jednak tej wartości artystycznej, co dzieła dłota z epoki panowania Kazimierza Wielkiego, i dlatego o wiele cenniejsze są rzeźby kościoła Maryackiego w Krakowie, który wzniesiono za świetnych czasów tego monarchy. Wyróżnia się tu cykl rzeźb, umieszczonych u szczytu jedenastu okien zewnętrznych prezbiterium.

Z tej samej szkoły pochodzą figuralne rzeźby zworników z t. zw. sali hetmańskiej, a właściwie sali tronowej, znajdujących się w Rynku krakowskim w kamienicy, oznaczonej N-rem 17.

Wśród nich spotykamy niezmiernie charakterystyczne portrety Kazimierza Wielkiego i jego żony, Adelajdy; inne zworniki ozdobione są symbolami cnót królewskich i herbami ziem polskich.

Po śmierci Kazimierza Wielkiego poczyna się chwilowy zastój w budownictwie i rzeźbiarstwie, które dopiero w XV stuleciu odrodzi się i wyda najwybitniejszą indywidualność w zakresie rzeźby polskiej—Wita Stwosza.

Znakomitego rzeźbiarza tak charakteryzuje dr. Kopera:

„Wit Stwosz urodził się około r. 1438, a umarł r. 1533, przeżył zatem cały wiek. Czas jego życia jest nadzwyczaj ciekawy. Epoka to ostatniego blasku gotyku, a zarazem świtu i tryumfu nowej sztuki, sztuki odrodzenia, następnie jej świetnego pochodzenia na północ. Działalność pierwszej połowy życia Wita Stwosza rozwinęła się w Polsce, kiedy renesans w tym pochodzie nie dotarł jeszcze do Polski i kiedy gotycki styl panował wszechwładnie. Wit Stwosz przeżywał ce mu się gotykowi



Zwornik w t. zw. sali hetmańskiej (Kazimierz Wielki).



nadał indywidualną formę, która była oddźwiękiem jego osobistego temperamentu, a oddźwięk ten poniekąd dostrajał się do rysów charakterystycznych naszego narodu. Odrębność twórczości Wita Stwosza od sztuki niemieckiej i usposobienia germańskiej rasy zauważyli sami niemieccy uczeni. „Jest on mistrzem—pisze jeden z tych uczonych—u którego nie dostrzega się rysów charakterystycznych, właściwych niemieckiemu narodowi: gorąca popędliwość i niespokojna porywczność tego artysty to raczej cechy właściwe Polakom lub Francuzom”.

W „Muzeum” podane zostały reprodukcje dzieł syna Stwosza, Stanisława, oraz wykonanych w jego warsztacie. Oprócz podobizn kilku rzeźb romańskich z XII w., włoskich z XVI i XVII w., niemieckich z XVI w., polskich z XII w. (słynne drzwi katedry gnieźnieńskiej) i XIV w. (krucyfiks królowej Jadwigi na Wawelu), „Muzeum polskie” z zakresu rzeźby pomieszcza ładny szkic historyczny p. Pagaczewskiego o Thorwaldsenie, ilustrowany czterema jego pracami, znajdującymi się w Polsce.

Z dziedziny pokrewnej rzeźbiarstwu, mianowicie snycerstwa, znajdujemy w „Muzeum” wizerunek cennego zabytku z XV w.: „Chrystusa na osielku”; interesujące są również zabytki rzeźbiarskie z Malborga, usunięte i najpewniej rozmyślnie zniszczone, jako pochodzenia polskiego, podczas odnawiania zamku krzyżackiego.

Przemysł artystyczny w Polsce reprezentowany jest dość ubogo; spotykamy tu jedynie podobizny pacyfikału z katedry guieźnieńskiej, pochodzącego z daru Ferdynanda Jagiellończyka, dwu kielichów mszalnych roboty krakowskich złotników z XVI w., wreszcie zegaru w stylu Ludwika XVI, rzekomo z zamku warszawskiego. Natomiast bardziej obszernie uwzględniono drukarstwo i drzeworytnictwo polskie, które nie osiągnęło wprawdzie u nas takiego stopnia rozwoju, jak zagranicą, lecz częstokroć odznacza się prawdziwym artystem.

Najszerzej traktowane jest w „Muzeum” malarstwo polskie, lub też na ziemiach polskich kwitnące, poczynając od malarstwa bizantyjskiego, którego wpływy silnie zaznaczają się w sztuce polskiej XIV i XV w., aż do artystów ubiegłego stulecia: Aleksandra Orłowskiego, Lampiego i Grottgera. Osobnie opracowany został Szymon Czechowicz, jeden z najwybitniejszych malarzy polskich XVIII w.

Interesujący portret hr. Chodkiewiczowej, wykonany przez Józefa Oleszkiewicza, kilka obrazów Grassiego, Lampiego, wreszcie szereg udatnych podobizn z dzieł artystów niemieckich (Jana z Kulmbachu, Hansa Dürera), włoskich i francuskich—oto bogaty i z wielu względów zasługujący na bliższe rozpatrzenie dział „Muzeum”.

Osobną kolekcję stanowią miniatury, szczegółowo opisane przez p. Pagaczewskiego.

W „Muzeum polskim” sporo jeszcze znaleźlibyśmy zabytków godnych pilnej uwagi. Miecz koronacyjny polski, zwany „Szczerbem” (autentyczny w Ermitażu petersburskim), i namiot, zdobyty pod Żórawnem w 1676 r., to najcenniejsze klejnoty „Muzeum”.

Szczera należy się wdzięczność inicjatorom i kierownikom wydawnictwa, które oby jak najszerzej niosło po kraju umiłowanie rodzimej sztuki i zabytków przeszłości.

M.



WIZYA

STEFAN PILLATI

BOLESŁAW PRUS:

## Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

I.

Gdyby spadł na ziemię gość z przestrzeni międzyplanetarnej i zapytał mieszkańców Europy: jak wam się powodzi?... prawdopodobnie odpowiedziałby mu chór głosów: źle... źle... bardzo źle!...

Potężna Anglia gotuje się do porachunku z Niemcami, co pociąga za sobą wielkie, a nieprodukcyjne wydatki i bynajmniej nie usposabia do dobrego humoru. W przebogatej Francji ludność jakgdyby zmniejszała się, co jest nie tylko narodowym, ale i cywilizacyjnym nieszczęściem. W tryumfujących Niemczech ludność wprawdzie szybko wzrasta, lecz zarazem potęguje się ciężar zbrojnego pokoju i demoralizacji, wytwarzanej przez władzę junkrów i biurokratów. Nareszcie olbrzymia Rosya, pomimo reform, które jeszcze nie zdobyły nazwiska, Rosya, tak bogata w płody surowe, choruje na wszystkie organy społeczne i państwowe, poczynawszy od Dumy i intendentury, kończąc na rolnictwie i szkole.

Jeżeli więc wszystkim jest źle, z jakiej racji nam, Polakom, miałoby być rozkosznie?... I w rzeczy samej jest nam bardzo niedobrze. Nawet tak wyglądamy, jakgdyby sam nasz byt, samo istnienie było zagrożone. Tak przynajmniej wydaje się pesymistom, którzy, trafnie sądząc położenie obecne, niesłusznie jednak wpadają w rozpacz i, do pewnego sto-

pnia, zatruwają swoje otoczenie jadem własnej goryczy.

Gdyby chodziło o nazwanie jednym słowem wszystkich trosk, wszystkich niedoli, jakie nam dokuczają, znaleźlibyśmy wyraz straszny, a imię jego: upadek... Upadek w każdej dziedzinie życia społecznego, na każdym polu działalności, co najjaskrawiej uwydatnia się w stosunkach politycznych.

Jeszcze w połowie XVIII wieku byliśmy państwem niezależnym i rozległym, ażeby pod koniec tego okresu uleść pochwianiu i utracić nawet byt polityczny. Dzięki rozmaitym kombinacjom, w których nie miała rolę odegrały legiony, na początku XIX wieku ocknęliśmy się, jako państewko malutkie, lecz niezależne, z tytułem W. Ks. Warszawskiego. Lecz w kilka lat znowu straciliśmy niezależność, w zamian której dano nam konstytucję i autonomię. Po roku 1831 utraciliśmy i konstytucję, i autonomię, lecz zachowaliśmy przynajmniej byt narodowy, który jednak po roku 1863 odebrano nam wszechstronnie.

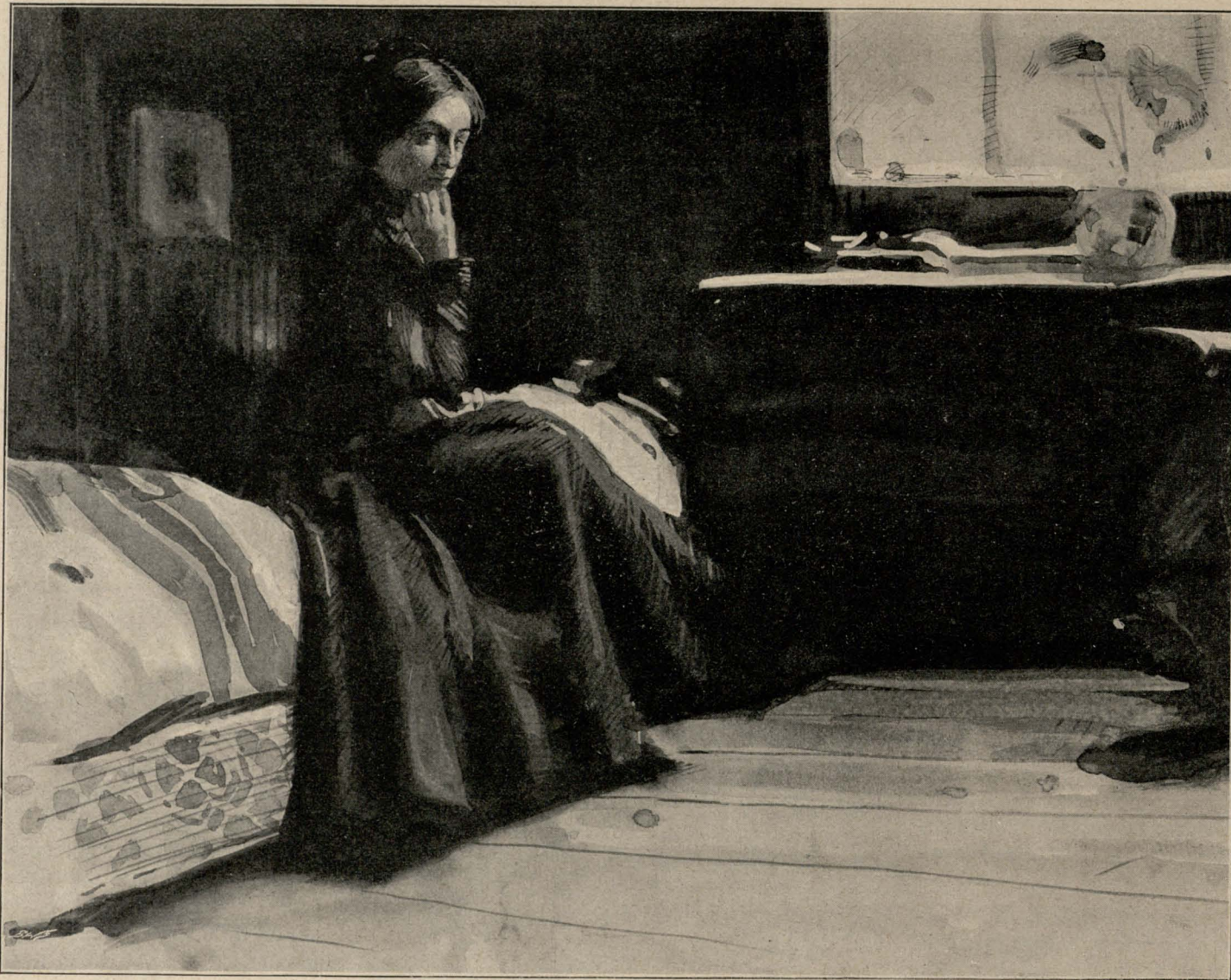
Dziś tylko w Austrii jesteśmy wyzwolencami, co prawda, zależnymi od łaski dynastii, może—od mniejszości niemieckiej, a może i od... poleceń z Berlina... Natomiast w Prusiech i Rosyi—miejmy raz odwagę nazwać rzeczy po imieniu—jesteśmy poprostu: niewolnikami, przeznaczonymi na ogłupienie, zubożenie, rozpędzenie, w każdym razie—zepchnięcie na najniższy szczebel społeczny. Dla osiągnięcia tego celu na drogach „legalnych”, w Prusiech wydano np. ustawę o wywłaszczeniu polskich właścicieli ziemi i rozbudowano antypolski fanatyzm, zaś w państwie rosyjskiem dokonywają się nad nami jakieś eksperymenty polityczne, ekonomiczne, wyznaniowe, oświatowe, a jednym z nich jest np. protegowanie kolonistów niemieckich i obdarowanie nas licznym zastępem ludności żydowskiej, która w Cesarstwie uważa się za szkodliwą, lecz u nas cieszy się względem poparciem, w formie choćby podsycania jej separatyzmu i „poprawionego” żargonu...

Oto obraz, może dla kogo zanadto jaskrawy, dla mnie—zbyt blady. Pomimo jednak, że oczyma duszy przypatruję mu się od rana do wieczora, pomimo że widzę coraz to nowe kreski, coraz to nowe uzupełnienia, w rozpacz bynajmniej nie wpadam. Nawet więcej—gdyż do nikogo nie mam pretensyi, na nikogo nie gniewam się i wcale nie myślę o zemście. „Mnie zostaw zemstę”... mówi Pan.

Bo wyobraźmy sobie, że kiedyś w Niemczech wybiję godzina, w której nieznany dziś trybunał zapyta pruskich junkrów i biurokratów:

— Moi panowie! Około miliarda marek wydaliście na wytwarzanie w państwie niepokoju, na hodowlę szpiegów, prowokatorów i politycznych złodziejów, wreszcie na tępienie, a przynajmniej osłabianie Polaków, którzy wcale nie gorzej od rodowitych Niemców orali ziemię, szyli buty, piekli ciasto, płacili podatki i dostarczali żołnierzy. Zaś w tym samym czasie mieliście setki i setki tysięcy, a może nawet i miliony przestępców kryminalnych, nałogowych żebraków, nędzarzy, pozbawionych pracy, dzieci, pozbawionych opieki... Mieliście kaleki, mieliście gruźlicowatych, mieliście starców, których nie dochodziła wasza emerytura państwowa, albo która im nie wystarczała. No, w końcu—mieliście myszy polne i mnóstwo szkodliwych owadów... I wy, drodzy panowie, otoczeni takim oceanem potrzeb realnych, a dokuczliwych, jednak nie wahali-





W ZAMYŚLENIU

F. M. WYGRZYWAŁSKI

ście się wydawać milionów i setek milionów na osiągnięcie celów zupełnie chimerycznych, a co gorsza, głęboko niemoralnych, gwałcąc w nikczemny sposób zasadę: *homo res sacra homini*—człowiek powinien być rzeczą świętą dla człowieka, zasadę, już znaną Rzymianom?...

Powie kto, że podobnych pytań nikt i nigdy nie ośmieli się stawiać pruskim junkrom i biurokratom?... Dobrze. Zanim się to jednak spełni, czy nie spełni, ja będę wierzył w sprawiedliwość dziejową i już z taką wiarą położę się do grobu.

Tymczasem pozwolę sobie zacytować słowa prof. Vollersa: „Jak ludzką jednostkę losy niekiedy zmuszają do zastanowienia się, do odróżnienia wartości życiowych trwałych od przemijających, tak samo dzieje się z narodami... Gdzie kryzysy i katastrofy tak często po sobie następują, tam ludzie muszą się obejrzeć za podporami trwałymi i poznać brak wartości praktyk zewnętrznych” (*Religie świata*).

Otóż jeżeli gdzie, to przedewszystkiem u nas trafiają się często, a nawet za często, „kryzysy i katastrofy”; jeżeli kto, to przedewszystkiem my musimy wyrzec się jałowych „praktyk zewnętrznych” (choćby w postaci rozmaitych bojkotów i pogrzebów), musimy odróżniać rzeczy niezmiennie od znikomych, użyteczne od nieużytecznych, wielkie od małych, a nareszcie musimy „obejrzeć się za jakimiś trwałymi podstawami” w życiu narodowym.

Przedewszystkiem jednak spojrzymy na nasze braki, nasze wady, nasze grzechy. Człowiek roztropny co wieczór dokonywa rachunku sumienia; niechże naród czyni to przynaj-

mniej od czasu do czasu. Rachunek taki i ja chcę zrobić, nie dla udreczenia ziomków i czytelników obrazem naszych błędów, które są przyczynami klęsk, lecz żeby (o ile to jest możliwe dla jednostki) — obudzić naród z opętania, z zaczarowania, jakby ze snu hipnotycznego, w którym jest pogrążony od kilku pokoleń.

Podobno w Europie zachodniej mówią, żeśmy, jako naród, zgubieni; podobno i wśród nas żyją nawet uczciwi i rozsądni obywatele, dzielający ten pogląd... Marny to i zbrodniczy fałsz, z którego przedewszystkiem musimy się otrząsnąć. Pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo jeszcze cięższych błędów, jakie co chwila popełniamy, mimo niedorzeczności, jakimi przeładowana jest nasza historia bodaj czy nie od dwu wieków, mimo to wszystko, naród nasz, naród polski nie tylko może wydzwignąć się z obecnego położenia, ale jeszcze, w przyszłej historii cywilizacji, odegrać piękną, wspaniałą rolę.

Ale... trzeba się obudzić. Trzeba, zamiast przywidzeń, postawić sobie szlachetne i płodne ideały, obmyślić wykonalny program urzeczywistnienia ich i wziąć się do pracy przedewszystkiem nad wychowaniem i wykształceniem samych siebie. Musimy zdobyć takie cnoty i taki stopień doskonałości, jakiego nam brakuje, a który powinien odpowiadać wymaganiom najwyższej cywilizacji, największemu rozwojowi myśli, uczuć i woli.

Przypuśćmy, że ktoś ma kawałek ziemi, z którym jego byt jest związany. Jeżeli czło-

wiek ten nie zasługuje na tytuł obłąkańca, wówczas ze swojej ziemi zechce *korzystać*. Zechce mieć żyto na chleb, pszenicę na bułki, siano dla inwentarza, drzewo na opał i na poprawę budynków i t. d.

Lecz, zanim będzie mógł korzystać ze swego mienia, człowiek ten musi działać, musi ciągle *wykonywać jakieś prace*: nawozić i obrabiać ziemię, siać nasiona, zbierać i młócić zboże, wycinać drzewo i rąbać je albo piłować... A zaś nim przystąpi do swoich mnogich prac, musi je najpierw jasno określić, *poznać* ziemię, nasiona, narzędzia i jeszcze wiedzieć, kiedy co powinno być zrobione. Każda bowiem praca ma swój czas, nie może być wykonana ani za prędko, ani za późno, a każdy owoc ma swoją epokę dojrzałości, na którą trzeba czekać cierpliwie i korzystać z niej prędko.

Otóż nie tylko w gospodarstwie rolnem, ale w każdej gałęzi zajęć, w każdej funkcji życiowej, w każdej działalności społecznej istnieją owe trzy momenty: *poznać—zrobić—i—wyczekawszy, skorzystać*. Im kto więcej posiada *wiedzy* w swoim fachu, im lepiej *pracuje*, im *roztropniej korzysta*, tem lepiej powodzi mu się, tem więcej ma szans do zabezpieczenia sobie bytu i rozwoju. I naodwrot musi się stać nieuleczalnym nędzarzem i niepewnym jutra niewolnikiem, kto nie chce uczyć się, badać i samodzielnie myśleć, kto nie umie działać z największym napięciem wytrwałości i energii, kto nie potrafi w porę i w miarę korzystać.

(DCN).



WL. ST. REYMONT:

## Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

Zaraz na drugi dzień po urodzeniu się tęgiego chłopaka spadł na nich strażnik, jak sęp żarłoczny, z nakazem, żeby mu dziecko przynieśli do ochrzczenia.

Koniuszewski struchlał, ale matka, chociaż jeszcze chora, zaczęła krzyczeć:

— Nie dam na prawosławne dziecka! Uduszę je własnymi rękami, a nie dam.

Strażnik odszedł, i nazajutrz wezwano Koniuszewskiego do gminy.

— Ja Polak i katolik, to i mój syn będzie taki sam! — odpowiadał krótko i twardo.

Posiedział za to parę dni w kościele, dostał parę razy w zęby, ale nie zmiękł.

W jakiś czas później wezwano go do Białej. Siedział w kryminale wraz ze złodziejami przez dwa miesiące i, chociaż próbowano złamać jego upór na różne sposoby, nie ustąpił i dziecka w cerkwi nie ochrzcił. Wrócił tylko z więzienia jakoś srodze opuchły, posiniaczony i z powybijanymi zębami. Powiadał potem przed sąsiadami, że zdrzemnął się na wozie i zleciał na twardą grude drogi...

Spróbowali z nim innej metody: musiał płacić za każdy dzień zwłoki po pięćdziesiąt kopiejek.

Płacił cierpliwie, myśląc, że na tem skończy się jego bieda.

Ale wkrótce podnieśli mu karę na rubla dziennie.

Nie ustąpił, chociaż było mu już strasznie ciężko.

A w końcu, aby go złamać ostatecznie, nakazali płacić po całe dziesięć złotych.

Darł się do żywego mięsa, odejmował sobie i dzieciom od gęby, a płacił i chłopaka do cerkwi nie zaniósł.

Lecz rychło przyszedł dzień, w którym zabrakło mu nawet na sól.

Kara jednak nieubłagana narastała; strażnik wisiał nad niemi, jak topór, i co parę dni przychodził po pieniądze, wójt groził więzieniem, gdyż urzędy coraz ostrzej nakazywały ściągać należność.

A skąd było brać? Stodoła była już pusta, wyprzedali się do ostatniego ziarenka, do ostatniego prawie ziemniaka i zapożyczyli na wszystkie strony.

Zaś zarobek ledwie starczył na jakie takie przeżywanie się.

Wtedy zafantowali im prawie wszystkie ruchomości z chałupy, z rozmysłem nie zostawiając zimowej przyodziewy, ni nawet pierzyn i poduszek, i sprzedali wszystko na pokrycie zaległych sztrafów.

W chałupie pozostały tylko gołe ściany i puste łóżko, że musieli się przenieść na spanie do obórki, listopad bowiem szedł zimny i deszczowy, a nocami brały tęgie przymrozki, ale się nie ugięły nawet pod takim ciosem,

zdecydowani już wszystko przenieść, byle jeno dziecko uratować.

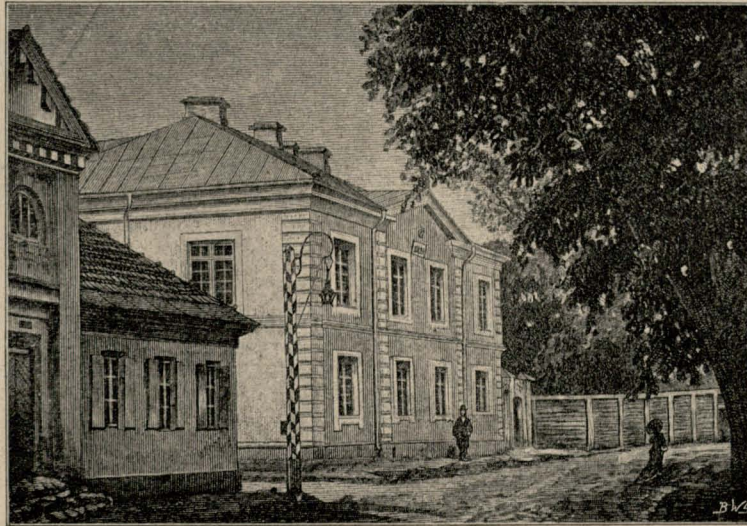
Cóż, kiedy tej chudoby nie starczyło na długo, i kara znów jeła narastać, a strażnik już co dnia ich dręczył i co dnia namawiał:

— Zanieście dziecko do cerkwi! wrócą wam wszystkie sztrafy i jeszcze nagrodę dadzą.

Chłop tylko zęby zaciskał i pięść pod się podtykał, żeby nie grzmotnąć kusiciela.

Aż któregoś dnia zabrali im maciorę, wartującą ze dwadzieścia pięć rubli.

Koniuszewski sobie rachował, że za nią przeżywią się chociażby do wiosny, więc ciężko zajęczeli po jej stracie, a beznadziej-



Biała Radziwiłłowska. Gmach gimnazjum, do którego uczęszczał J. I. Kraszewski.

na rozpacz zaczęła szarpać sercami, ale nie dali tego poznać po sobie wójtowi, który pierwszy wszedł do chlewa wyganiać świnie, a tylko Józefowa, widząc maciorę, opierając się przed progiem, zakrzyzczała urągliwie:

— Ugryźcie ją w ogon, to może prędzej was posłucha.

Wójt udał głuchego, a potem przystąpił do chłopca i zaczął mu życzliwie przekładać:

— Nie gub się, człowieku! Widzisz przecież, do czego cię już doprowadziło to uporstwo! Głową muru nie przebijesz! Nie wiesz to, że pokorne cielę dwie matki ssie?...

— Żeby nie wiem co, a od swojego nie odstąpię! — odpowiedział w głos.

— Nie bądź głupi, jak drugie! Małós to już dostał? chcesz, żeby ci jeszcze dołożyli, co? Takie prawo wyszło, to słuchać go musisz. Dziecku się nic nie stanie. A rozgniewasz swoim uporstwem urzędy, to ci gotowi grunt zabrać i wyjdiesz na dziady.

— A niech mi wszystko zabiorą! A niech mi nawet przyjdzie zdychać z głodu pod płotem, to zdechnę, a dziecka na zatracenie nie oddam! — rozkrzyzczał się, a żona mu jeszcze przytakiwała, utulając rozplakane dziecko.

Cała wieś to słyszała i widziała.

I nie przeciągnął go wójt na swoją stronę, nie poradziło tego zrobić później inni, podmówieni, a nawet sam pop, który umyślnie przyjechał do niego, nie puścił go do chałupy i tylko kijem pogroził.

Wlokła się ta sprawa do połowy grudnia; zima się już była ustaliła na dobre, wody skrzępy na lód, śniegi przykryły pola

przemarżłe drogi dzwoniły pod nogami, a wszelkie stworzenie cisnęło się do ciepła, gdy jakiegoś poranku mroźnego spadł na Koniuszewskich cios nowy i może najcięższy.

Przyszli zabrać im krowę, jedyną ich żywicielkę.

W chałupie zrobiło się tak strasznie, jakby wyprowadzano nieboszczyka, kobieta ryknęła płaczem i zaczęła bronić bydłatka, wrzeszczeć a pomstować w niebogłoso, aż się cała wieś zleciała.

Nikt się jednak z pomocą nie kwapił, bo jeszcze wielu nosiło nie zgojone rany.

Koniuszewski też jakoś spokojnie stał w progu, błąd był jeno, jak trup, i chociaż mu żalność rozrywała wnętrzności, patrzył na wszystko martwemi, zapiekłemi od bólu oczami i nie wyrzekł ani słowa, ale skoro krowina, wyciągana z obejścia, zaryzczała i zaczęła odwracać głowę za gospodarzami, porwał jakiś kół i również wziął bronić swojej żywicielki. Nie obronił, mógł to sam przemódz całą tę dziką zgraję?

Tyle tylko zarobił, że go znowu sponiewierali, jak nieboskie stworzenie, a krowę i tak powlekli na sprzedanie.

Luta noc omroczyła im duszę, i gdy żalosne ryki bydłatka ucichły, chałupa stała się jakby tym zimnym grobem, pełnym straszliwych jęków niedoli, kobieta zawodziła rozpacznie, nie mogąc przeboleć tej straty, a chłop siedział martwo pod kominem, jak ten ogień, w który się zapatrzył, pa-

lącą, straszną męką przegryzany.

Przeszło południe, wieczór już nadchodził, modrawy zmierzch obtulał ziemię, i po wsi wybłyskiwały światła, a oni wciąż siedzieli, pogrążeni w rozpacz i gorzkich rozpamiętywaniach swojej doli nieszczęsnej. Zaglądali do nich niektórzy sąsiedzi, ale, dojrawszy sine, okrwawione twarze, zakrzępe w bólu i rozpacz, uciekali strwożeni, dopiero późnym wieczorem oprzytomniał ich płacz zgłodniałych dzieci.

— Cóż teraz pocniemy? — odezwała się kobieta, nastawiając garnek z wodą na ogień.

— Nie ustąpimy! — rzekł i długo patrzył w jej zapłakane oczy.

— Dziecka nie dam! — przytwierdziła mocno — a może Pan Bóg zlituje się jeszcze nad nami.

Mieli w sobie taką niezłomną wiarę w świętość swojej sprawy, że nie było na świecie mocy, któraby mogła ich zachwiać w powziętem postanowieniu.

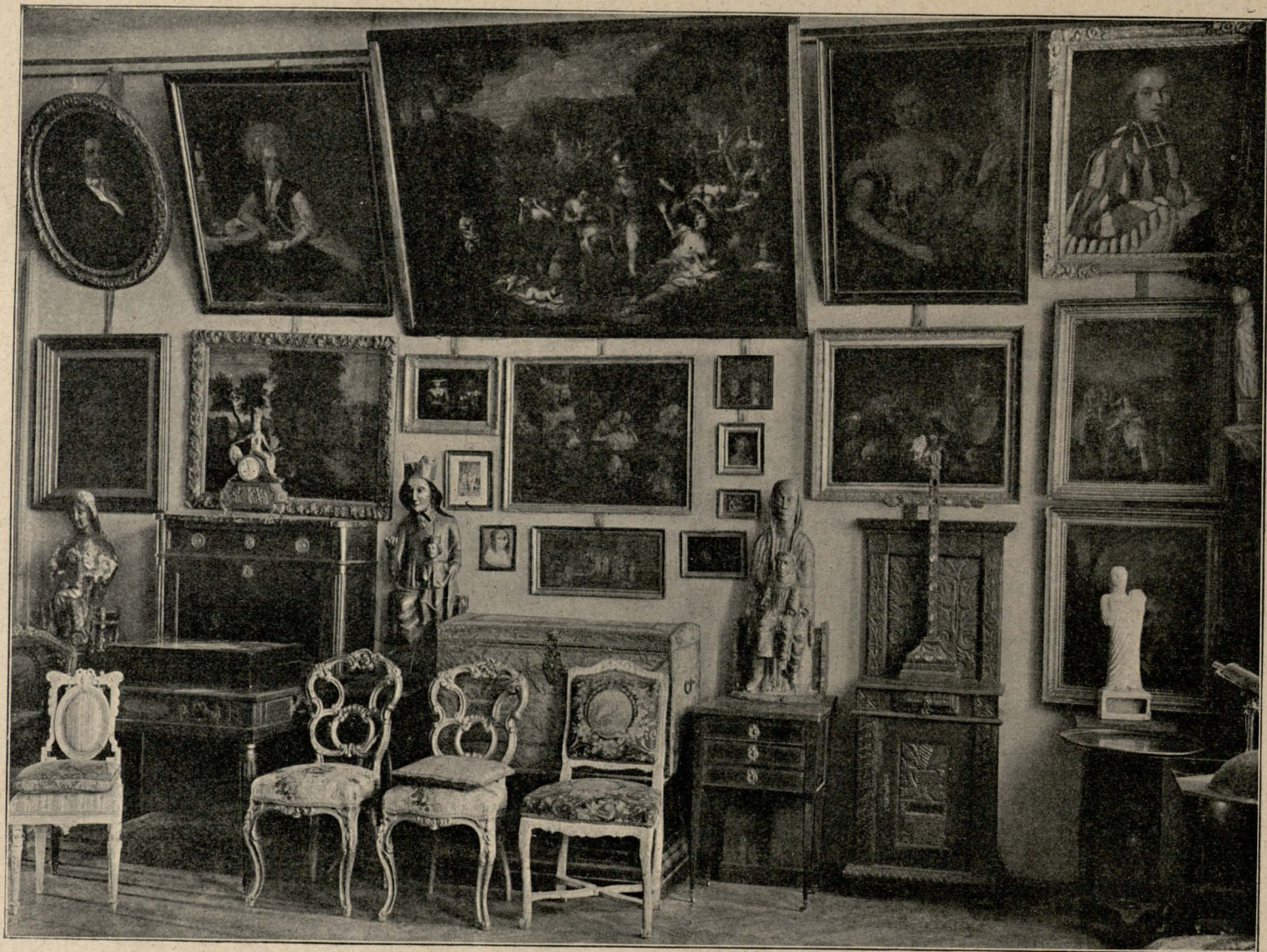
Ale jak tu było żyć dalej?

Nie mógł się nigdzie ruszyć za robotą, bo literalnie nie miał w czem, a mrozy brały coraz większe, więc tylko żyli tem, co im przyniosły miłosierne ręce sąsiadów, a tego było niewiele, gdyż wieś była strasznie zbiedzona i tak w czasie „nawracania” objedzona przez żołnierstwo, że nie w każdym domu mieli ziemniaki, a już okrasa i chleba to nie widzieli całymi miesiącami.

Ale w chałupie Koniuszewskich była już tylko rozpacz i głód.

(DCN)





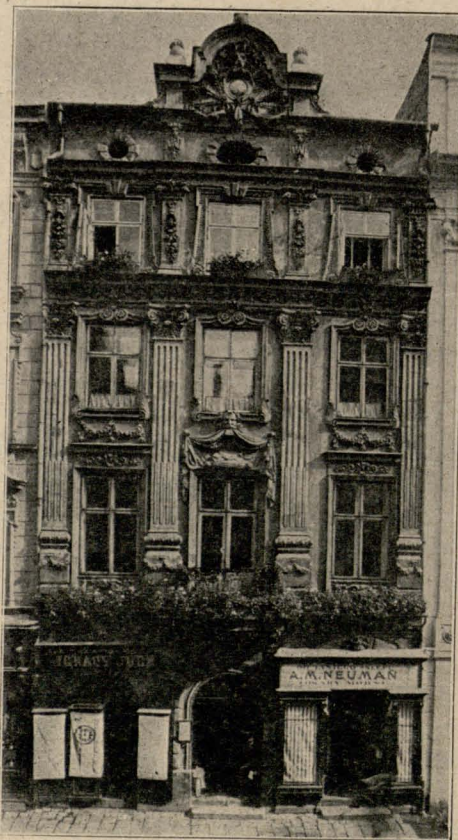
MUZEUM NARODOWE. ŚCIANA CZTERECH MADONN.

## Święto instytucji narodowej.

Wśród niemylnych objawów postępującego coraz dalej naszego odrodzenia narodowego jednym z najwyraźniejszych i najpewniejszych jest powstanie przed ćwiercią wieku Muzeum Narodowego w Krakowie i jego dzisiejszy rozwój, zdumiewająco szybki i bujny.

Jest to już faktem wielokrotnie stwierdzonym, że w narodach szacunek i miłość dla przeszłości wzrasta w miarę polepszania się ich — teraźniejszości. Wzmaganie się sił w organizmie, narastanie w nim nowych warstw, do życia twórczego uzdolnionych, wytwarza w świadomości narodu silną potrzebę wyszukiwania niejako genealogii zjawisk jego teraźniejszego życia w dziejach pokoleń poprzednich i związywania ich w jeden, o ile możliwości, nieprzerwany łańcuch skutków i przyczyn, dziedziczeń i dorobków. Podobnie jak silny i ufny w siebie człowiek niełatwo nosi się z żalem do swoich przodków, nawet mając do tego żalu dostateczne przyczyny, lecz rażno ima się pracy, aby nadrobić to, czego nie odziedzyczył, tak też i naród, skoro tylko dźwigać się zaczyna ze swojego zasłużonego czy niezasłużonego upadku, natychmiast przestaje karmić się trucizną żalu do poprzednich pokoleń i, unikając ich błędów, świadom ich przywar, daleki od wszelkiej sentymentalnej ich idealizacji, szanuje w nich jednak i kocha owe stulecia wysiłków i pracy, znojów i walk, bez których nie byłoby możliwe owo dźwiganie się i owo odrodzenie się w teraźniejszości. Równowaga ducha, ten zdrowia wskaźnik najpewniejszy, pozwala jasno rozumieć, że wśród powszechnej względności niema rzeczy ani absolutnie złych, ani absolutnie dobrych, że dzieje

narodu nawet „najnieszczęśliwszego” są tyle złe, ile dobre, tyle nagany, ile pochwały godne. I oto, kiedy rozpoczyna się uzdrowienie narodu, wraz z ową równowagą ducha wraca poczucie wdzięczności za dobre i wyrozumiałości za złe, które mu pozostawili przodkowie.



Dom J. Matejki w Krakowie.

Stan ten w świadomości narodu jest zarazem objawem i warunkiem jego rozwoju kulturalnego, który, sam będąc nieprzerwanym procesem ciągłego narastania nowych dóbr duchowych i materialnych, nie dałby się pomyśleć w teraźniejszości bez organicznego związku z przeszłością. A związek ten jest tak silny, kultura i pełne poszanowania umiłowanie przeszłości tak ściśle łączą się z sobą, że z pojawienia się jednego można z całą pewnością wnosić o istnieniu drugiego.

To też, skoro powstanie i wspaniały rozwój Muzeum Narodowego w Krakowie świadczą bezpośrednio o obudzeniu się w szerokich warstwach naszego narodu pietyzmu dla jego przeszłości, to z równą pewnością można je uważać za niewątpliwy dowód znacznego kulturalnego tych warstw podniesienia. I na tem właśnie polega cała wielka doniosłość tego niezwykłego święta narodowego, jakim jest ćwierćwiekowy jubileusz tego wspaniałego pomnika naszej historycznej równorzędności kulturalnej z innymi narodami europejskimi.

Historia powstania i rozwoju Muzeum Narodowego daje także dokładny obraz tego radoznego zjawiska, jakim jest ciągle pogłębianie się i rozszerzanie naszej świadomości zbiorowej, które, mimo wszystkich o czemś wręcz przeciwnem świadczących zdających się pozorów, odbywa się nieprzerwanie i coraz intensywniej.

W październiku r. 1879, podczas jubileuszu Kraszewskiego, uniesiony szlachetnym zapałem, który wśród uczestników tej uroczystości pamiętnej powszechnie panował, ofiarował obecny na uroczystości Henryk Siemiradzki swoje „Świeczniki Chrześcijaństwa” — jak się sam wówczas wyraził — „na pożytek krajowi”. Królewski ten dar stał się owym zawiązkiem, dokoła którego wykrystalizowało się w ciągu lat dwudziestu pięciu dzisiejsze Muzeum Narodowe. Zachęcona ofiarnością nieśmiertelnego artysty Rada miasta Krakowa po-



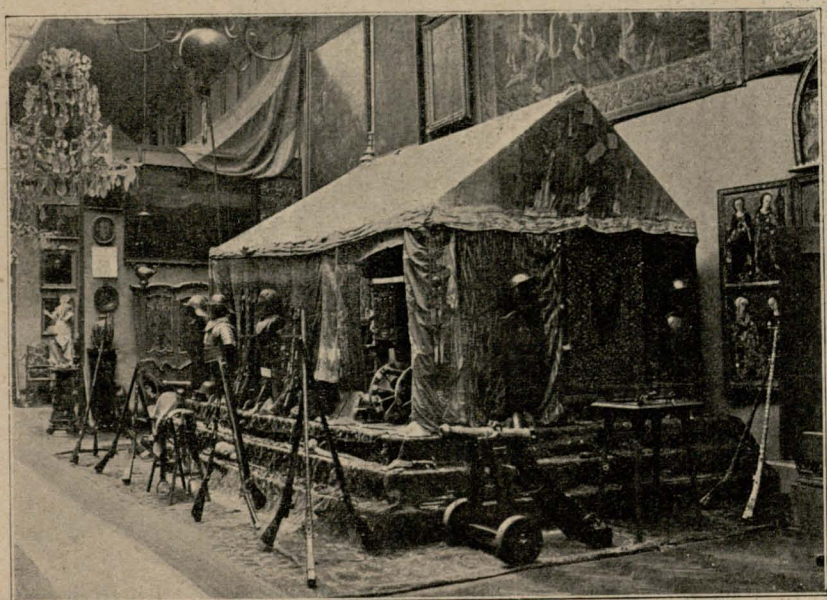
## MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE.



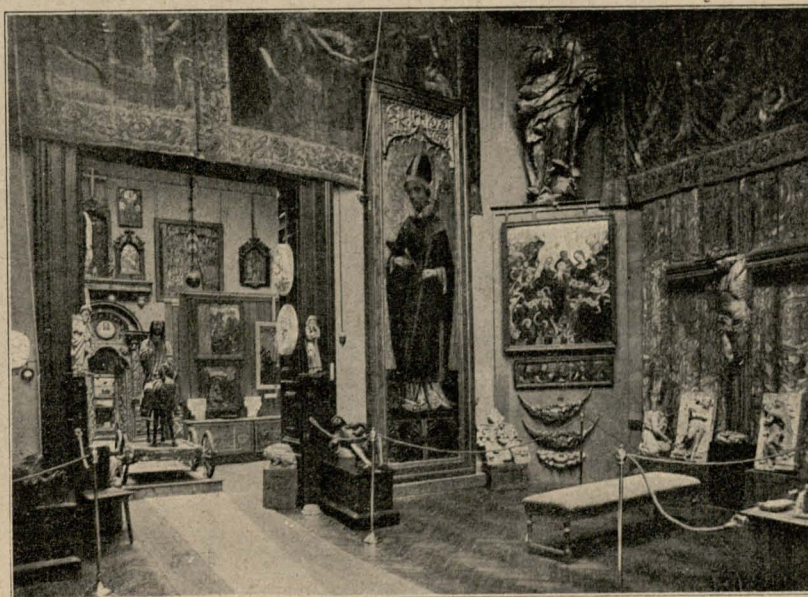
SALA WSTĘPNA.



DZIAŁ ETNOGRAFICZNY.



NAMIOT TURECKI ZE ZBROJAMI.



SALA ZBIORÓW XV I XVI WIEKU.

wzięta w dwa dni później uchwałę utworzenia w części Sukiennic galerii obrazów i „utrzymywania jej kosztem miasta i całego kraju”.

Z tych dwóch aktów zrodziło się Muzeum Narodowe. Prace organizacyjne, ułożenie statutów i t. d. trwały całe pięć lat, tak że otwarcie Muzeum nastąpiło dopiero w r. 1883, dnia 11 września. Dyrektorem Muzeum został Władysław Łuszczkiewicz, który w ciągu siedmioletnich swoich rządów doprowadził do tego, że Muzeum, wśród bardzo trudnych warunków, przy zupełnej jeszcze wówczas obojętności społeczeństwa i przy żebraczym wprost uposażeniu, z małego pierwotnie zbioru 50 przedmiotów wzrosło do okazałej kolekcji 10,364 obiektów.

O prawdziwym rozwoju Muzeum, pomieszczonego—w trzech niewielkich salach, nie mogło być naturalnie mowy. Był to raczej magazyn przepełniony, niż zbiory, odpowiadające bodaj w przybliżeniu właściwemu znaczeniu tego wyrazu. Dopiero w r. 1900, kiedy Towarzystwo sztuk pięknych przeniosło się z Sukiennic do własnego pałacu przy placu Szczepańskim, zyskało Muzeum odpowiedniejsze pomieszczenie. Wprawdzie wzrastające zainteresowanie losem Muzeum wśród społeczeństwa i towarzyszące mu szybkie mnożenie się najcenniejszych darów bardzo spowodowało bardzo rychło ponowne przepełnienie uzyskanych świeżo ubikacji, ale ostatecznie, mimo tego chronicznego już odtąd braku miejsca, udało się niestrudzonemu doktorowi Koperze, który po ś. p. Łuszczkiewiczowi objął dyrekcję Muzeum, tudzież nowo mianowanemu jego kustoszowi, drowi Pagaczewskiemu, zastosować bodaj w części zasa-

dy naukowe w ugrupowaniu i rozmieszczeniu ciągle mnożących się zbiorów.

W r. 1894 osiadł w Krakowie cieszący się już europejską sławą zbieracz, hr. Emeryk Hutten Czapski, który, zakupiwszy przy ul. Wolskiej piękny pałacyk, dobudował doń ogniotrwały pawilon i pomieścił w nim swą wspaniałą, z ogromnym znanstwem zgromadzoną kolekcję. Piękny napis, na pawilonie umieszczony: *Monumentis patriae naufragio ereptis* wyjaśniał dokładnie charakter i przeznaczenie tych drogocennych zbiorów. W dwa lata dotem hr. Czapski zmarł, przekazując wszystkie swoje zbiory Muzeum narodowemu. Gmina zaś Krakowa odkupiła od spadkobierców zmarłego przytykający do pawilonu ze zbiorami pałacyk, stwarzając w ten sposób nowy oddział Muzeum o ogromnej naukowej i materialnej wartości, nazwany na wieczną pamiątkę szlachetnego ofiarodawcy „Muzeum Czapskich”.

Po tym wspaniałym darze posypały się inne, jak z rogu obfitości.

Taka galera Łozińskich ze Lwowa, dwie bogate biblioteki Adama Wolańskiego z Rudki na Podolu i dra Lasockiego z Nałęczowa, dalej przepyszna, w zabytki pierwszorzędnej wartości obfitująca kolekcja hr. St. Rusieckiego z Trojanki, tudzież cenny i wielki zbiór p. z Dąbcańskich Budzynowskiej we Lwowie—oto najważniejsze z tych darów, które otrzymało Muzeum Narodowe w ciągu kilku lat ostatnich, a które stanowiłyby mogły pożądaną nabytkiem dla każdego, chociażby najbogatszego muzeum europejskiego. Dodajmy do tego nabyte w roku bieżącym ogromne zbiory p. Goldsteina, a będziemy mieli pewne pojęcie o tej zawrotnej niemal szybkości, z jaką Muzeum w ciągu

ostatnich lat ośmiu powiększyło się dwudziestoczerokrotnie, wzrastając z 10,364 do 250,000 numerów inwentarza.

Króciuchny ten zarys dziejów ćwiećwiekowych Muzeum nie byłby zupełny, gdybyśmy nie wspomnieli przynajmniej o przyłączeniu do Muzeum Domu Matejki, co w roku ubiegłym ostatecznie uskutecznione zostało, tak że dzisiaj Muzeum Narodowe posiada trzy wielkie zbiory: główny, Czapskich i Dom Matejki, a oprócz tego jeszcze Barbakan, czyli t. zw. „Rondel Floryański” i górną część wież kościoła Maryackiego.

Jakież przedstawiają się materialne środki, na których Muzeum był swój opiera? Otóż w stosunku do ogromnego, wprost niewymiernego znaczenia, jakie ta instytucja dla Galicyi i dla całego narodu polskiego posiada, są one wręcz znikome. Główny ciężar utrzymania Muzeum dźwiga samo miasto Kraków. Oprócz gmachów bowiem, zajętych przez Muzeum, których roczny czynsz przedstawia wartość 30,000 koron, wypłaca miasto na rzecz Muzeum tytułem dotacji blisko 18,000 koron, co, jak na ubogi Kraków, jest ofiarą ogromną. Dotacja sejmowa wynosi 10,000 koron. Tyleż wypłaca rocznie skarb państwa. Resztę zaś dochodów, które w roku ubiegłym wynosiły 94,563 koron, przynoszą opłaty wstępów, sprzedaż katalogów i t. p.

Mimo tych więcej, niż szczupłych dochodów Muzeum, które nie pozwalają mu osiągnąć odpowiedniej liczby należycie wykwalifikowanych urzędników, ani prowadzić zakupów w celu racjonalnego uzupełniania istniejących zbiorów, bo wyczerpują się całkowicie na bardzo zresztą oszczędną administrację i konserwację zbiorów, najbliższa



## ROZSTANIE



Z wystawy  
pośmiertnej  
WITOLDA  
WOJTKIEWICZA

przyszłość Muzeum zapowiada się bardzo pięknie. Na przyjęcie bowiem Muzeum otworzy już niebawem swoje podwoje Wawel, a przedewszystkiem ogromny gmach szpitalny, znajdujący się na wzgórzu wawelskiem. Odpowiednio zadaptowany gmach ten, zawierający szereg ogromnych, doskonale oświetlonych sal na dwóch wysokich piętrach i parterze, będzie stanowił przez czas dłuższy zupełnie wystarczające pomieszczenie dla Muzeum.

Zbiory będą tam mogły być rozmieszczone według wszelkich wymagań nauki, co wartość ich niepospolicie podniesie. Liczni zaś zbieracze prywatni, których panująca dzisiaj w Muzeum ciasnota odstrasza od ofiarowania narodowi swych zbiorów, będą mogli niebawem oddać je Muzeum Narodowemu z tą pewnością, że znajdą w niem one możliwie najlepsze pomieszczenie. Interes jednak całości Muzeum, konieczność utrzymywania jego zbiorów w pewnym ściśle naukowym porządku, wedle epok dziejowych i wedle natury przedmiotów, nie pozwala na ściśle rozgraniczanie zbiorów wedle ich pochodzenia od poszczególnych ofiarodawców. Tymczasem dzieje się bardzo często, że zbieracz, wiedziony szlachetną zresztą ambycją zawarowania moralnego swego prawa własności zbiorów, jako warunek ofiarowania ich Muzeum, stawia ich nierozzerwalność, żądając, aby zbiory jego pozostały nienaruszone w jednej gablocie, na jednej ścianie, w jednej sali i t. p.

Nasze Muzeum naturalnie jest jeszcze za ubogie, aby mogło pozwolić sobie na taki luksus, jak wyrzeczenie się tego lub owego nabytku dla samej idei zachowania w zbiorach koniecznego porządku. Niemniej jednak i ono odczuwa nieraz bardzo przykro rozmaite krępujące jego działalność klasyfikacyjną, nic z muzealnictwem nie mające wspólnego zastrzeżenia i warunki. Ofiarodawcy, których oby przybywało jak najwięcej, powinni mieć tę ważną sprawę dobra i pomyślnego roz-

woju Muzeum na oku i nie krępować działalności klasyfikacyjnej jego kierownictwa.

Każdy, chociażby najmniejszy dar zostaje zapisany do ksiąg inwentarza i do metryk obiektów, tak, że pamięć ofiarodawcy nigdy nie zaginie. To, obok zadowolenia, że spełniło się piękny i naśladowania godny czyn, tudzież przeświadczenie, że ukochane zbiory znajdują się w najodpowiedniejszym pomieszczeniu i najpiękniejszemu służą celowi, powinno w znacznej części wypadków wystarczać.

K. S.

## KRYTYKA.

„Gdyby dzisiaj—pisał przed laty trzydziestu kilku Ernest Hello—zjawiała się w Paryżu prawdziwa krytyka, w przeciągu jednego tygodnia zmieniłoby się do niepoznania oblicze świata umysłowego”. O kilka zaś wierszy dalej ten sam pisarz w rozprawie swojej o krytyce mówi zjadliwie: „Krytyk Paweł zna pisarza Piotra, więc, cokolwiekby Piotr uczynił, dla znajomości musi go oszczędzać. Zresztą Piotrem zachwyca się Jakób, więc przez to samo Paweł poczuwa się do obowiązku równego zachwytu.”

Słowa te przychodzą mi na pamięć, ilekroć zastanawiam się nad obecnym stanem literackiej i artystycznej krytyki polskiej.

Niewątpliwie, tu i owdzie są jej przebłyksi, są próby szczerego wypowiedzania własnych sądów, opartych na głębszym obcowaniu duchowym krytyka z twórcą, obok jednak krytyki właściwej, która jest „sumieniem sztuki” i przed którą każdy artysta musi uchylić czoła, zbyt często mamy do czynienia z jej surogatami.

Wykluczam tu, oczywiście, wszelką reklamę, która albo nosi na sobie wyraźny stempel handlu, inaczej, stempel współczesności, albo przepływa

swobodnie przez łamy dzienników pod flagą przyjaźni, którą—i na to już niema rady—do końca świata będzie miał jakiś Paweł dla Piotra, a Piotr dla Jakóba.

Dobry Pan Bóg przebaczy wiele dziennikarstwu współczesnemu, przebaczy mu więc zapewne i ten obfity posiew fałszów estetycznych, który za jego pośrednictwem przedostaje się do społeczeństwa.

Właściwa krytyka ma jednak obowiązek fałsze te plenić i nie dopuszczać do zbyt bujnego ich wzrostu. Tymczasem, jak okiem sięgnąć, krzewią się one i rosną dokoła nas, bo za mało jest rąk, któreby je zaczęły kosić śmiało i bezwzględnie, za mało krytyków, którzyby wypowiedzieli istotnie to, co stanowi głębokie ich przekonanie wewnętrzne, niezależne ani od osoby Piotra lub Pawła, ani od mody, ani od prądu przemijającego, ani od kapliczki, dla której mają cichą sympatyę, ani nawet od wszechwładnej opinii snobów.

I jest dziwne, że właśnie w chwili obecnej, po odpływie fali t. zw. modernizmu, kiedy nastrój umysłów zdaje się sprzyjać bardziej niż kiedykolwiek rodzinom poważnej myśli krytycznej, tak rzadko mamy z nią do czynienia.

Tymczasem na krytykę prawdziwą, rzetelną, głęboką, oddzielającą istotnie dobre ziarna od plewy, odróżniającą to, co nie przemija, od tego, co w poczęciu swoim już jest skazane na zagładę, czekają wszystkie dziedziny naszej twórczości—i literatura piękna, i nauka, i sztuki plastyczne, i muzyka. Wszędzie niemal panuje chaos, wszędzie pochlebny panegiryzm z jednej, a głuche, obojętne milczenie z drugiej strony wzięły górę nad sądem rozsądnym i sprawiedliwym, i kto wie, czy, gdyby dzisiaj zjawiała się w Warszawie prawdziwa krytyka, „w przeciągu jednego tygodnia nie zmieniłoby się do niepoznania oblicze naszego świata umysłowego.”

Z. D.



## WYZWOLENIE



Z wystawy  
pośmiertnej  
WITOLDA  
WOJTKIEWICZA

## Witold Wojtkiewicz.

„Umierając, nie miał jeszcze Wojtkiewicz trzydziestu lat. Tem również trzeba mierzyć pamięć, jaką w sztuce zostawia, bo ledwo miał czas dojrzeć, a jednak stworzył niejedno, co nie minie, i, odchodząc, zostawił nie tylko wielkie obietnice, lecz kilka przynajmniej zwrotek pieśni, jakiej po nim trzeba było oczekiwać. Miał zaś w swej twórczości rysy tak odrębne od wszystkiego, co widzieliśmy dokoła, że nie zatrą się”.

Tak pisze pan Witold Noskowski we wstępie do katalogu wystawy pośmiertnej zgasłego niedawno malarza, wystawy rzeczywiście ciekawej, która ukazuje nam oblicze jednej z oryginalniejszych organizacji twórczych. Wojtkiewicz, pomimo krótkiego czasu swej działalności malarskiej, zdobył już indywidualność wybitną, zajął też miejsce naprawdę bardzo odrębne w ogólnym ruchu artystycznym ostatniej doby. Dzieła w liczbie pięćdziesięciu kilku, zebrane obecnie w jednym z salonów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, są tego nader wymownym dowodem. Oglądając je uważnie, nabieramy niezachwianego przeświadczenia, że autor ich nie mógł być osobistością przeciętną, jakimś zwykłym robotnikiem na tej niszy, którą przecież tak wielu uprawia bez szczególniejszych w tej mierze powołań.

Ten był niewątpliwie malarzem urodzonym, artystą z Bożej łaski, twórcą najpracowitszym, który widział przed sobą własne drogi dążeń i usiłowań malarskich. Szedł on nimi, nie oglądając się na wskazania zewnętrzne, prowadzony jakąś potężną siłą fatalistyczną, której tajemnice leżały w przyrodzonych właściwościach jego umysłu i serca.

Piętno tej konieczności, ta bezpośredniość wyrazu, narzuconego przez nakazy wewnętrzne, przez specjalną uczuciowość i umysłowość arty-

sty, jest może właśnie ową najwyższą wartością jego utworów, wartością, której zdefiniowanie jest jednak sprawą zgoła niełatwą.

Zapewne to się czuje. Wytwarzają się jakieś nieuchwytnie, niezmiernie subtelne nici sympatii, które za pośrednictwem dzieł tych wiążą myśl widza z myślą artysty i łączą je gdzieś, w sferach marzenia w jedną wspólną zadumę.

Są to rzeczy nie nazwane dokładnie, nie określone ściśle, dlatego też tak trudno odpowiedzieć wprost i wyraźnie na pytanie, dlaczego utwory Wojtkiewicza, z których wiele graniczy z niewątpliwym dziwactwem, z których większość nie posiada bynajmniej cech mistrzowskiego dociągnięcia w formie, a jest raczej dziecinnie niedołążna, cieszy się jednak pewnym w świecie malarskim uznaniem. A z pytaniem takim spotykamy się na wystawie ustawicznie. Wojtkiewicz tak istotnie daleko odszedł od przyjętych powszechnie sposobów przedstawiania zjawisk świata rzeczywistego, że pierwsze wrażenie prac jego nasuwa nieprzeliczone mnóstwo zastrzeżeń i wątpliwości.



Witold Wojtkiewicz.

Oczywiście, i on nie wymyślił jednego kształtu, którego by nie widział w naturze, nie wynalazł jednej kombinacji barwnej, której by nie było w skali widma słonecznego. Prawdą jest tylko, że kształty rzeczywiste na obrazach swoich przedstawia w jakiejś pierwszej, niezdecydowanej jeszcze, jeszcze mętnej wizji, tak właśnie, jak wtedy, kiedy zamajaczy przed przymkniętymi w marzeniu oczami. Zapewne, gdyby artysta przedstawione przez siebie lalki, pajace, drewniane koniki i tym podobne zabawki dziecinne namalował w zdecydowanej plastyce i realistycznej prawdzie kolorytu, obrazy jego byłyby może poprawne pod względem malarskim, ale stałyby się nudne, jak dobrze namalowany szylid firmy zabawkarskiej. Kiedy jednak rzuca na płótno barwne, harmonijnie dobrane plamy, wiążące się w całość jakichś kształtów niedostatecznie określonych, zda się, łatwiej zachowa w nich istotę swego wzruszenia twórczego, a my w tych niedomówieniach, w rytmie skręconej nerwowo linii, w charakterystycznym wypaczeniu kształtu domyślamy się głębszych tendencji myślowych.

Daleki jednak jestem od tego, ażeby z wad niewątpliwych robić tytuł do zasługi artystycznej. Niedociągnięcia rysunkowe i aż nazbyt swobodne karykaturowanie kształtu, a zwłaszcza karykaturowanie bez potrzeby, wynikały po części z niedostatecznego opanowania środków sztuki malarskiej. Nie wątpię, że, gdyby Wojtkiewicz dłużej mógł być pracować dla sztuki, byłby niewątpliwie lepiej zrównoważył środki wyrazu zewnętrznego z wizyjną poetycznością swoich melancholijnych marzeń; był to bowiem rysownik utalentowany, a zwłaszcza bardzo tęgi kolorysta, o czym świadczy tak pięknie zharmonizowana w plamach barwnych kompozycja, jak załączone tu „Rozstanie”, lub namalowanie pejzażu w obrazie, zatytułowanym „Okrucieństwo”.

T. J.



## WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Zimowy sezon teatralny rozpoczęły. — „Hanusia” Gerharda Hauptmanna. — „Gringoire” Teodora Faulaina de Banville’a. — „Tylko sen” Lothara Schmidta. — Pierwszy koncert sezonowy.

Z wystawieniem „Hanusia” Hauptmanna w naszym Teatrze Wielkim spóźniliśmy się o lat równo szesnaście. Zrewanżowaliśmy się Hauptmannowi—i sobie: bardzo pięknym wystawieniem popularnej już dziś sztuki, ale... do jej charakterystyki krytycznej *my* już obecnie nic dodać nie możemy. Powiedziano i napisano o niej—wszystko, co może nie tylko trafić do przekonania, lecz i wątpliwość obudzić.

Czemże jest „Hannele” z roku 1893-go? Czystą poezją *à la* „Zachwycenie” i „Błogosławiona” Lenartowicza, czy nastrojową rozmyślnością, czy socjalnym dydaktyzmem? Myślę, że tym ostatnim. Cała ta prostota, rzewność, sentyment „Hanusia” są tylko środkiem, nie celem. Celem było: poruszyć widzów i słuchaczy bezbrzeżnie tragiczną, nie dającą się, niestety, ukończyć tu, na ziemi, niedolą takich biednych, a niewinnych istot, jak Hannele Mattern. Nieszczęśliwe, słodkie, umęczone dziecko... Gdy zbite i sponiewierane przez ojca, nałogowego opoja, rzuciło się do przerebli i, uratowane, umierało w ubogiej izbie, ujrzało w ekstazie mistycznej duszy, głęboko a prosto wierzącej: własną gloryfikację pośmiertną na tamtym świecie, gdzie Chrystus Pan i aniołowie Jego wynagradzają wszystkie udręczenia, męczeństwa, gorycze, zaznane na ziemskim padole:

A Święci Pańscy w niebo ją wiodą,  
Pod obie ręce, jak pannę młodą...

Teza sztuki Hauptmanna bezgranicznie smutna i beznadziejna. Unosi się nad nią—tylko litość. Cała zaś osnowa sztuki i jej charakter obliczone są wprost na wrażliwość najdelikatniejszych, najprzyrodzejszych uczuć ludzkich. Niedola—dziecka! Gdzież jest serce, któreby na ten widok nie drgnęło? Dziecka, umęczonego życiem, sny świetlane o niebie! Czyżże krytycyzm ośmieli się prostować to, co poddaje umierającemu dziecku jego wyobraźnia? Płóćcie światłem niezemięskiem, kluczyki polne, stań się rzeczywistością, szklana trumna ze „Śpiącej królowej”, śpiewajcie, aniołkowie Boży, i Ty, Jezusie maluczkich, daj biednej Hannele przytulić się do twych kolan i połóż swą dłoń na jej głowie i zabierz ją z sobą tam, gdzie się nie cierpi już, nie płacze i nie tęskni za niczem...

Wy zaś, ludzie dojrzały i uczeni, patrzcie, co dzieć się może w duszy dziecka mularskiego, wdrygnijcie się do głębi i... nie depczcie po duszach dziecięcych, po życiach sierocych, po niedolach cichych, opromienionych tylko snami o szczęściu.

I wiedział dobrze Hauptmann, że samym tylko liryzmem nie trafi tam, dokąd zmierzał; przeplótł tedy sztukę swoją surowym realizmem, prawie dosięgającym dosadności Gorkiego, i nie tylko tem podniósł wysoce świetność marzeń Hanusi, lecz je znakomicie uprawdopodobnił. Kunsztowność „Hannele” przewyższa pod tym względem kunsztowność „Dzwonu zatopionego”.

Czy atoli treść ideowa „Hanusia”—jak chcą niektórzy—prześciga treść ideową „Dzwonu”? Nie sądzę, aby tak było. Treść ideowa „Hanusia”—uboga, tak prymitywna, jak styl widzeń i marzeń córki mularza wioskowego. Treść ideowa „Hanusia” wyczerpana do dna—w pierwszej odsłonie; odsłona druga nie przynosi już zgoła nic, okrom rozwinięcia kilku szczegółami założenia sztuki, założenia, zapowiadającego więcej, niż daje druga i ostatnia odsłona.

Wystawienie „Hannele” wymaga od reżysera niepospolitej wytrawności nie tylko zawodowej, technicznej, lecz wytrawności—smaku artystycznego. Nic mu nie pomoże rozporządzanie tak ob-

fitymi środkami technicznymi, jakie dać mu może nasza scena wielka. Od początku do końca płynie między Scyllą efektów baletowych i baletowego stylu a Charybdą zbytniej ordynarności, dławiącej wszelki urok poezji. Jeżeli kiedy złożył p. Sliwicki dowód nieumiejętności technicznej (która go nigdy nie zawodzi), lecz bardzo subtelnego odczucia właściwego stylu i charakteru, to wysta-



Hanusia (p. Tekla Trapszo) i Nieznajomy (p. Sliwicki).

wiając niemiłosiernie trudną „Hannele”. Zwłaszcza cała odsłona druga jest arcydziełem: miary, smaku i subtelności.

Pośpieszam dodać, że sekundowały znakomicie p. Sliwickiemu takie *dramatis personae*, jak Hanusia w świetnej interpretacji p. Tekli Trapszo-Krywultowej, jak sam Gottwald p. Sliwickiego, jak ojciec Mattern p. Rożańskiego, jak dziad-zebrak p. Kawalskiego (czwarta już w tych czasach rola wcale niepospolita), jak Heta p. Pichorówny.

Z trudności niepowszednich wyszliśmy tedy tu, w Warszawie, z honorem, a nawet pod niejednym względem ze świetnością, godną sceny pierwszorzędnej.

Jeżeli jednak „Hanusia” dogoniliśmy. Europejczyńcy uczyniliśmy słusznie w myśl maksy: lepiej późno, niż nigdy, to racyj dobrzej nie widać, dlatego teraz dopiero przyszło komuś na myśl brać na scenę naszą „Gringoire’a” Banville’a, sztukę, liczącą już czterdzieści dwie wiosny. Ponieważ grają ją wciąż jeszcze w Comédie Française? A niechże grają zdrowi! Mieli do niedawna Coquelina dla roli głównej, a „Gringoire” dla piękności swoich stylowych (francuskich) może już uchodzić za jedną z klasycznych jednoaktówek francuskich. Co w nim jednak jest—dla nas? Jest anegdota quasi-histeryczna (poeta Gringoire żył za panowania Ludwika XII, nie zaś Ludwika XI-go, a w dodatku nigdy nie był *takim*, jakim go Banville maluje), anegdota dramatyczna, jakby w rodzaju „Radziwiłł swatem”, anegdota o fakturze staroświeckiej, roz-wlekła, pełna gadaniny, skreślonej wprawdzie przez poetę *impeccable*, jak zwano parnasistę Banville’a, ale na domiar nawet bardzo

miernie przełożonej na język polski. A! Gringoire wybucha wielką tyradą o niedoli wiejskiego roboczego proletariatu pańszczyźnianego. Hm... lat temu 42 słuchalibyśmy może z zajęciem takich „śmiałości” radykalizujących, lecz—dziś?... No, co nam znaczy patetyczna deklamacja Gringoira, nam, cośmy świeżo przeżyli rok 1905-ty!

Grano „Gringoire’a” bez stylu... *funambulesque*, właściwego Banville’owi, a właściwie: płytko, zgoła bez żadnego zdecydowanego stylu, czyniąc miejscami śmiesznym to, co winno być finezyą i co, niewłaściwie zinterpretowane, nabiera wątpliwego smaku.

Już racjonalniejszy uczyniono wybór, sięgając po komedyjkę Lothara Schmidta, „Tylko sen”. Farsa niemiecka w wyższym stylu. Powierzono też ją pierwszorzędnym siłom: pp. Ordon-Sosnowskiej, Frenklowi, Wolskiemu, Wilczyńskiemu, a do tego kompletu dostroili się wybornie p. Pawińska i p. Uszyński. Niemiecka jednak robota pozostała robotą niemiecką (północno-niemiecką, berlińską), pomimo zręcznych kilku scen i wogóle istotnego talentu pisarskiego autora. Jeden z sz. kolegów moich wyraził się: „to niby szampan francuski, podany w kuflach od piwa”. Powiedziałbym może: to berlińskie *Weissbier*, podane w kieliszkach od szampańskiego wina. Faktura bowiem sztuki całkiem francuska, nawet pomysł, ale treść dyabło często przypomina ciężką *kühle Blonde*, spijaną w knajpie przy niewybrednej kiszce i niewybrednych konceptach.

Bal ale słowa z pieśni nie wyrzucić. Rzecz dzieje się w Grunewaldzie, w podberlińskiej kolonii willowej zamożnego mieszczaństwa stołecznego, tedy i rysy obyczajowe w tem środowisku muszą być takie akurat, jakimi zaprawił p. Schmidt sztukę swoją. Nawet Francuz północny, p. Wolski, zatuszował znacznie ich jaskrawość. Tedy, jako okaz drastycznej awanturki towarzyskiej w inteligentnym, zamożnym, mieszczańskim środowisku berlińskim, „Tylko sen” ma niezaprzeczoną wartość. A że *nam* nie podoba się styl np. flirtu pani Anny Stabrinowej z p. Sponholzem, ponieważ ordynarny jest i nazbyt już dosadnie ujawniający... o co chodzi, doprawdy nie wina w tem autora sztuki. Przeciwnie, szczerzy jest, a to zaleta w pochwytywaniu życia na gorącym uczynku.

Takimi oto nowościami zainaugurowano sezon teatralny zimowy, rozpoczęty w odświeżonych Rozmaitościach *comme de raison* „Geldhabem” i „Benetem”.

Hasło zaś rozpoczęcia się sezonu koncertowego dał znakomity basista nasz, p. Didur, wystąpiwszy w Teatrze Wielkim z pięknym koncertem, niestety, jednym tylko. Wszystkie atoli wspaniałe przymioty artysty występują na jaw dopiero w operze, w połączeniu ze świetną grą. A opery, jak wiadomo, nie mamy. Warszawa—bez opery! W głowie się nie mieści...

CZESŁAW JANKOWSKI.



„Hanusia” Hauptmanna w Teatrze Wielkim. Obraz ostatni: „W raju”.





Widok ogólny.



Sala w pawilonie głównym.



Komitet wystawy. Fot. W. Boretti.

## Pierwsza wystawa ruska w Galicyi.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbyła się w Stryju koło Lwowa pierwsza rusko-ukraińska wystawa rolnicza w Galicyi, a zdaje się, że pierwsza także w całej Europie. Wystawa ta, aczkolwiek aranżerowie jej tak ściśle przestrzegali zasady jej wyłączności narodowej, że nawet napisów polskich nie pomieszczyli, obudziła w szerokich kołach społeczeństwa polskiego żywe zainteresowanie. Prasa polska wysłała do Stryja swoich korespondentów, którzy wystawę szczegółowo opisali. Wielu przedstawicieli władzy, a między nimi minister dla Galicyi, dr. Dulęba, zwiedziło wystawę również.

poczynił na polu ekonomicznym zdumiewająco szybkie postępy.

Wystawa stryjska miała też niemal wyłącznie charakter rolniczy, czyli, jak mówią Rusini, „chliborobski”, chociaż nie brak było na niej wielu interesujących okazów kielkującego wśród tego narodu przemysłu. Szczególnie artystyczny przemysł domowy kwitnie u Rusinów w całym tego słowa znaczeniu, dając piękne świadectwo wysokim artystycznym zdolnościom ludu ruskiego, głównie zaś górali ruskich w Karpatach wschodnich, t. zw. „Huculów”, wśród których nie brak prawdziwych artystów w swoim zawodzie. Jeden z nich, słynny już Mikołaj Skryblak, przebywał nawet na wystawie, gdzie w oczach wiedzających rzeźbił wraz z synem bardzo misterne talerze, szkatułki, stoliki, toporki i t. p. Wspaniałe hafty, bardzo

pomysłowo barwione kilimy i oryginalna majolika składały się na całość wielce zajmującą i niezwykłą, stanowiąc, obok działów zbożowych i gospodarczych, najbogatszą część tej ciekawej wystawy.

### PAMIĘCI ŻYDA-PATRYOTY.

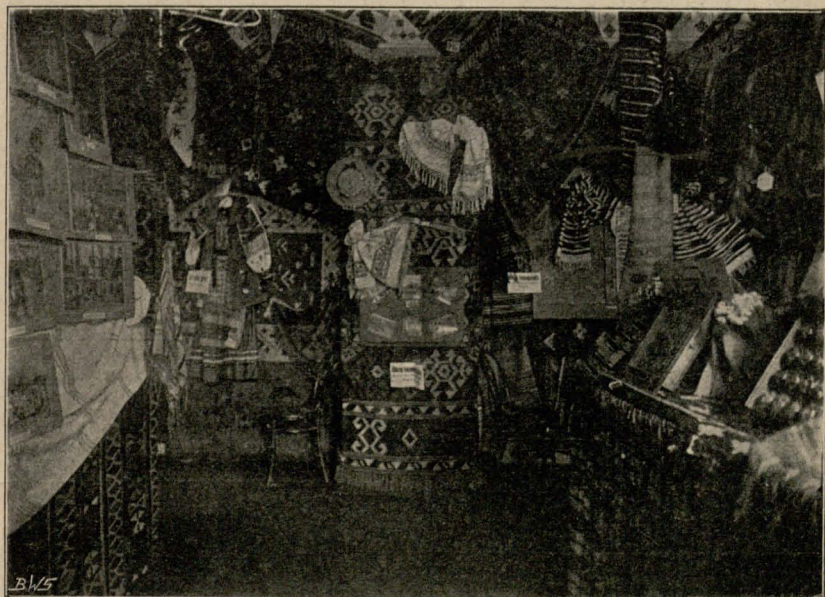


Na cmentarzu starozakonnych w Warszawie odsłonięty został pomnik wielce zasłużonego Żyda-patrioty polskiego, Henryka Wohla. Niedawnemu pogrzebowi jego towarzyszyły tłumy, i tłumy też zebrały się w ubiegłą niedzielę na cmentarzu, składając wymowne świadectwo, że różnice rasowe i wyznaniowe dzieci jednej ziemi znikają, gdy chodzi o stwierdzoną, wspólną miłość tej ziemi.

### WYSTAWA RUSKA W STRYJU.



Oddział bukowiński. W głębi J. E. metropolita ruski, hr. Szeptycki,



Kilimy i hafty huculskie.

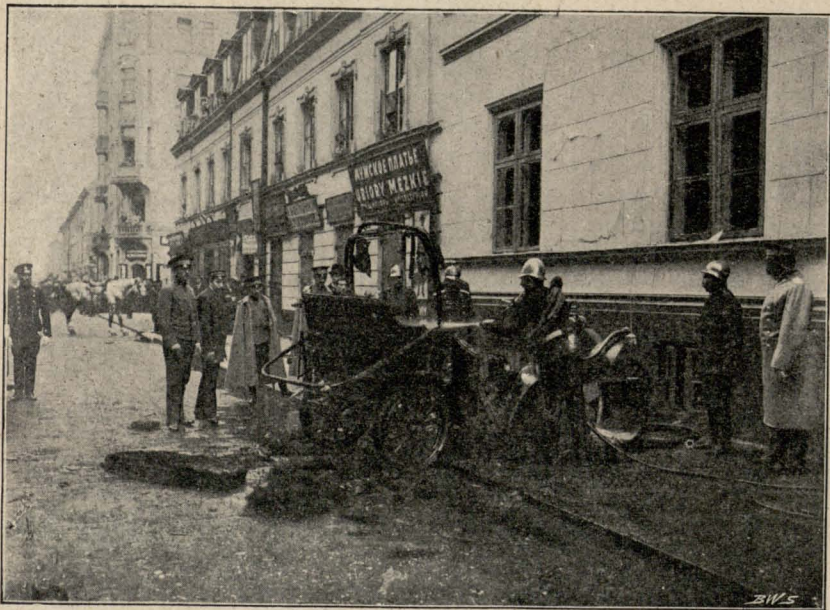


## PIERWSZY ZJAZD NAUKOWY POLSKI W WARSZAWIE.



1) Komitet organizacyjny i prezydium, w pierwszym rzędzie: dr. Mikulski, Lwów; prof. Twardowski, Lwów; prof. Cybulski, Kraków; prof. Gluziński, Lwów; prof. Babiński, Paryż; prof. Halban, Lwów; prof. Piltz, Kraków; dr. Horszewski, Lwów; 2) Grupa gości: dr. Trzebiński, Kijów; dr. Kiewlicz, Wilno; dr. Filipkiewicz, Tenczyn; dr. Chłapowski, Poznań. 3) Pierwsze ogólne posiedzenie Zjazdu.

## WYBUCH SAMOCHODU W WARSZAWIE.



W niedzielę, 11 b. m., skutkiem wybuchu benzyny, spalił się samochód gen. Uthofa; na miejsce wypadku przybył natychmiast oddział ratowniczy straży ogniowej z kapitanem Łosiewskim na czele i pożar ugasił. Ofiarą wybuchu padło kilkanaście osób, jedna zabita, kilkanaście ranionych, a w tej liczbie i gen. Uthof. Rycina nasza przedstawia ulicę Świętokrzyską w chwilę po wypadku.



Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe** **J. FRUZIŃSKI.**

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

**„ŚMIECH”** Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca:  
Sole do kąpieli NAUHEIMSKICH z kwasem węglow.  
Sole do kąpieli BALSAMICZNYCH z kwasem węglow.  
Sole do kąpieli JODOWO-BROMOWYCH z kw. węgl.  
Sole do kąpieli SIARCZANYCH z kwasem węglowym  
Sole do kąpieli ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

Przechowanie Mebli  
**„SYRENA”**  
Krak. Przedm. 38. Telef. 11-22

## Pierwszy zjazd naukowy polski w Warszawie.

W bieżącym tygodniu Warszawa święciła uroczystość naukową: zjazd neurologów, psychiatrów i psychologów polskich. Starania o pozwolenie władz administracyjnych na zjazd uzyskali: L. Bregman, E. Flatau, W. Męczkowski i R. Radziwiłowicz, poczem ukonstytuował się komitet organizacyjny, do którego weszli: L. Bregman, A. Ciągliński (skarbnik), J. Wł. Dawid, L. Dydyński, E. Flatau (wiceprezes), W. Gajkiewicz (prezes), S. Góldflam, J. Kelichen, S. Koczyński, E. Kornitowicz, T. Łapiński (sekretarz), W. Męczkowski, H. Nusbaum, R. Radziwiłowicz, J. Segal, W. Sterling (sekretarz), A. Szyćówna, W. Werych (wiceprezes), A. Wizel. Obrady, początkowo obliczone na dwie sekcje (neurologiczno-psychiatryczną i psychologiczną), wobec obfitości zgłoszonych odczytów postanowiono rozdzielić na 3 sekcje: neurologiczną, psychiatryczną i psychologiczną. Za główne tematy do obrad zjazdu obrano: 1) „O metodzie psychologii” (ref. prof. Twardowski); 2) „O nowotworach układu nerwowego i ich leczeniu” (refer. M. Biro, Z. Bychowski, E. Flatau, W. Męczkowski); 3) „Padaczka i stany pokrewne” (ref. L. Bregman i W. Sterling); 4) „Rozpoznanie różniczkowe psychozy maniako-depresyjnej i otępienia wczesnego” (ref. M. Bornstein i A. Wizel); 5) „Klasyfikacja idiotyzmu” (H. Higier); 6) „O stanach podświadomych” (ref. E. Abramowski); 7) „O badaniu inteligencji” (refer. J. Wł. Dawid). Wreszcie R. Radziwiłowiczowi powierzono temat: „W sprawie naszej terminologii psychologicznej”. Oprócz powyższych tematów, obranych przez organizatorów i powierzonych odpowiednim referentom, zgłoszono na zjazd 45 odczytów z sekcji neurologiczno-psychiatrycznej i 26 z sekcji psychologicznej. Świadczy to o wielkim zainteresowaniu się zjazdem przedstawicieli nauki, a nadto zapowiada piękny dorobek nauki polskiej. Z wybitniejszych przyjezdnych uczestników zjazdu wymienić należy: D-ra Babińskiego, znakomitego neurologa paryskiego, profesorów Piltza, Cybulskiego i Bochenka (Kraków), profesorów Gluzińskiego, Halbana i Twardowskiego (Lwów), dra Chłapowskiego (Poznań), dra Trzebińskiego (Kijów), dra Biegańskiego (Częstochowa), J. Ochorowicza (Śląsk), dra Kiewlicza (Wilno). Pierwsze posiedzenie ogólne Zjazdu rozpoczęło w poniedziałek o godz. 9 i pół z rana w wielkiej sali resursy obywatelskiej. Zagajenia dokonał prezes dr. Gajkiewicz wobec licznych uczestników Zjaz-

du, oraz delegatów Towarzystw naukowych. Następnie wybrano prezydium zjazdu. Na prezesa powołano wśród gromkich objawów uznania zgromadzonych prof. Babińskiego z Paryża, na wiceprezesa zaś prof. Cybulskiego, Heinricha i Piltza (Kraków), oraz prof. Halbana i Twardowskiego (Lwów), na sekretarzy drów Hornowskiego i Mikulskiego. Po odczytaniu listów i depezy powitalnych prof. Twardowski wygłosił odczyt „O metodzie psychologii”.

## Osobiste.

Redaktor naczelny naszego pisma, dr Józef Wolff powrócił z zagranicy.

## Ze sztuki.

Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych zyskała nowego dyrektora, znakomitego artystę, stałego współpracownika naszego Tygodnika, p. Stanisława Lenca. Wybór ten należy podnieść z uznaniem; jesteśmy pewni, że będzie on połączony z wielką korzyścią dla uczniów i dla przyszłości szkoły.

## Neurolog,

wiersz, wypowiedziany d. 13 b. m. w „Momsie” z okazji zjazdu naukowego w Warszawie.

Znacie szatana—ludzkości wroga,  
Arcy-chytręgo ducha ciemności?!  
On to wymyślił neurologa  
Na udreczenie biednej ludzkości.  
Tak, wiercie państwo, to sprawa biesów,  
A ma na celu złowrogie skutki,  
Aby nas wszystkich zmienić w hebesów,  
A świat na klasztor zmienić calutki.  
Wszak neurolog, gdy cię w pieczy,  
Pomimo, że cię nigdzie nie boli,  
Mówi, żeś chory na straszne rzeczy!  
Każe ci wszystko jadać bez soli...  
On o dziesiątej spać się kładź każe,  
Zrobi ci lica od wapna bledsze,  
On cię nerwową maścią wymaże,  
I morskie każe wachać powietrze,  
Zatruje każdą chwileczkę życia,  
Z miną zjadliwą, jak bazyliżek.  
Przepisze mleko, wodę do picia,  
Zamiast alkohol wlewać do kiszek.  
Zamiast w kochanki tonąć objęciu,  
Gdzieś pod maszyną, w której prąd trzeszczy,  
Przy wolt piekielnych silnem napięciu,  
Każe ci słodkich zażywać dreszczy.  
Każe ci w wodzie trzy razy do dnia,  
Moknąć przy jarskiej strawy obroku,  
Knajpa dla niego gorsza niż zbrodnia,  
A co innego?... raz na pół roku...  
A gdy cię wreszcie strawi to trucie,  
Gdy cię ziołami, jak mumie, natrze,  
Gdy zaspokoi wszystkie swe chucie,  
Wtedy w prezencie da cię—psychiatrze.  
T. MODRZEJEWSKI.

## Z ZURYCHU DO OSTROŁĘKI.



Dwóch śmiałych żeglarzy powietrznych, Mix i Russel, wyruszyło z Zurychu, a spadli aż pod Ostrołęką. Na wstępie padli naturalnie ofiarą praw pasportowych, poznali więzienie powiatowe, na szczęście jednak wkrótce opuścili Ostrołękę z honorami.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe** **J. FRUZIŃSKI.**

**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

**„ŚMIECH”** Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca:  
Sole do kąpieli NAUHEIMSKICH z kwasem węglow.  
Sole do kąpieli BALSAMICZNYCH z kwasem węglow.  
Sole do kąpieli JODOWO-BROMOWYCH z kw. węgl.  
Sole do kąpieli SIARCZANYCH z kwasem węglowym  
Sole do kąpieli ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

Przechowanie Mebli  
**„SYRENA”**  
Krak. Przedm. 38. Telef. 11-22

**PIWO DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne  
sprzedaż wszędzie.

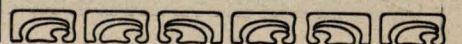
Zwracamy uwagę na ogłoszenie redakcyi  
**„SFINKSA” na 3 stronie okładki.**

PENSION DE FAMILLE, WIDOK 11, Tel. 155-60  
**Ewa Kotarbińska.**

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE  
**I. FILIŃSKI** Marszałkowska 153

**ZDROWIE** niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

**BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA**  
K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.





## KAZET: Z CYKLU: „SONETY GÓRNIKA”.

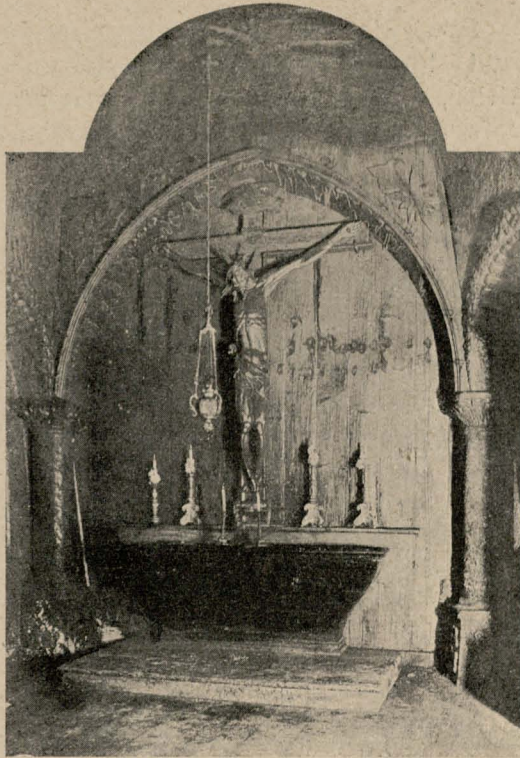
## KRYSTAŁOWA GROTA.

Tu mieszka *Dusza światła* w kryształowej  
grocie...  
Kiedy górnik, zmęczony podziemną robotą,  
Promyka słońca pragnie, wygląda z tęsknotą,  
Tu, w tym przedsionku świata, ma ulgę  
w tęsknocie.

Tu o męce zapomni, o trudzie i pocie,  
Tu światło go zalewa swoją falą złotą,  
Tu świeżych sił zaczerpnie, by znowu  
z ochotą  
Mógł na chleb przez dnia resztę pracować  
w ciemnocie.

Przezysta *Duszo światła!* bądź błogosławiona!  
I ty błogosławiony bądź, jasny promieniu!  
Ku tobie prężę pracą zmęczone ramiona.

Wyzwól mnie z mroku! nie daj zginąć  
w wiecznym cieniu!  
Spraw, gdy wykonam dzienną robotę do końca,  
Bym mógł znowu na świecie ujrzeć blaski  
słońca!



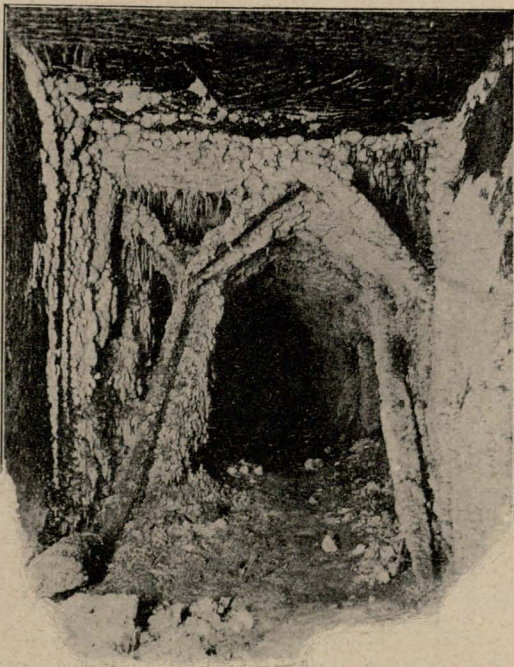
## CHRYSTUS W KOPALNI.

Na ociosanej ścianie, w skale jednolitej  
Wykuty Chrystus... twarde, spracowane dłonie  
Krzyż ten rzeźbiły długo... Lampa wieczna  
płonie,  
Blask mdły i krwawy, głazów wilgocią odbity.

Tę Mękę Pańską skropił przy pracy obfity  
Pot górnika, ach! ileż trwóg i zwątpień w łonie:  
Czy głowa przenaświętsza w cierniowej  
koronie  
Przypomni Zbawiciela, co wstąpił w błękity?

Skończone dzieło!... radość do głębi przenika  
Mistrza—o innej wcale nie myśli zapłacie:  
Jezus przed nim w kamiennej zawisł aureoli...

Co to?!—Chrystus ma rysy znajome, górnika!  
Te usta drogie zdają się mówić: „Pójdź, bracie,  
Tu, do mnie, wyznaj wszystko, wszystko,  
co cię boli”.



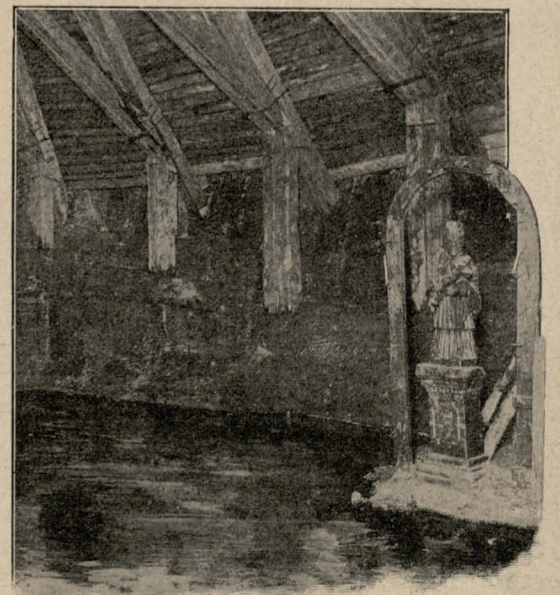
## JEZIORA.

Jak dusze potępieńców, zbliżone ku sobie  
Niewolą i cierpieniem, bólem i rozpaczą,  
Cicho w głębinach ziemi fale jezior płaczą,  
W beznadziejnej tęsknocie, w wieczystej  
żałobie.

Kir nocy je pokrywa tu o każdej dobie,  
Czasem nad nimi krótko światła  
zamajaczą,  
Którymi swej bytności chwile ludzie  
znaczą..  
I znowu nieskończona ciemność w zimnym  
grobie.

Nienasycona żądza za niebios lazurem!  
Nieukojone nigdy za słońcem pragnienie!  
Moc żadna przeznaczenia więzów nie  
potarga!

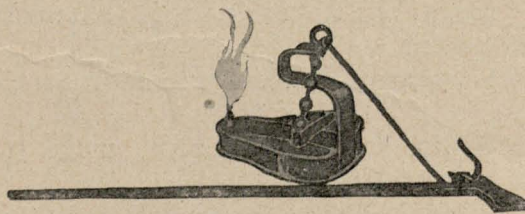
Niezmienne bytowanie w milczeniu  
ponurem..  
Jedyni towarzysze: cienie, cienie, cienie...  
Jedyny protest: cicha fal jeziora skarga...



## KAGANKI ŻYCIA.

Na dnie komory, tak jak na ludzkim padole,  
Świecą kaganki życia jasno, świecą żywo,  
Przędziwo, nasycone krwią młodą: oliwą,  
Bujnie płonie, złocistą tworząc aureolę...

Idą lata... przychodzą troski, smutki, bole,  
Wichry i burze życia... płomienia przędziwo  
Zaczyna schnąć, przygasać, pali się leniwo,  
Łez wilgoć tłumi rychło energię i wolę!



Jeszcze się broni śmierci, jeszcze chwytą  
technienie,  
Jak konający, gdy mu oddechu zabraknie...  
Ostatnie rzuca błędne dokoła spojrzenie.

Życia! życia! wyschniętą piersią kropli łaknie...  
Naprawdę! Zgon przychodzi... Jeszcze  
wzrokiem toczy...  
Błysk... Dym... i ciemność wieczna... zgasły  
drogie oczy!



— Ogłosimy w gazecie nagłe zastąpienie prelegenta i odłożenie odczytu na czas nieograniczony — proponował Pasterkowski.

— Zastąpienie?... Nie, to już było... Lepiej, nagłe wezwanie do Warszawy, od komitetu.

— I to już było — nadmienił Pasterkowski.

— Jednak to lepsze — rzekł Budzisz i osadził się na tym projekcie.

Znalazł nawet poetyczne uzasadnienie cofnięcia na dzisiaj zamiaru:

— Pamiętasz, panie Tytusie, z historii świętej, jak Noe wypuszczał z arki gołębice na próbę, czy ziemia już obeschła i przygotowana na jego przyjęcie? Otóż tutaj ziemia jeszcze nie gotowa; trzeba czekać, aż bagna oschną.

— Ale arka nasza nie zginie!—odrzekł Pasterkowski—pływaj pan dalej i wyląduj szczęśliwie, panie Apolinary!

Tajemnica partyjna pokryła całą tę rozmowę, i pan Apolinary pierwszym pociągiem wyjechał do Warszawy.

Jechał sam. Dzień był pogodny; tu i ówdzie można było dostać krzepiących cięło i myśl alimentów. Drobne niepowodzenie wileńskie rozplynęło się w twórczym optymizmie Budzisz. Wśród drzemki fizycznej czuwający wciąż duch obejmował senną wizją dokonane dzieła.

Tam, na północ, hen daleko  
Szumią puszcze ponad rzeką,  
Tam kraj... tego dobrodzieju mój.  
Lud odmienny, trochę senny...  
Ryby, grzyby i wędliny...

— Wędliny — palce lizać, dobrodzieju mój! Kraj bogaty. Co za belki i maszty po lasach!—Lud odmienny, to prawda.—Ale jak ja tych Miłaknisów tam zażyłem, co?—A innych? Chmara unarodowiony.—Wiszu stają się rozsądkiem tego, co wiecie.—Wilno jeszcze niezupełnie, ale już, już.—Ciecierowicz, Pasterkowski, alianci, posterunki. A nowy posterunek, na którym osadziłem Kazimierza, jednego z najlepszych naszych ludzi, to jest... jednego z najzdolniejszych wykonawców moich planów! Podróżował ze mną, widział na własne oczy, słuchał własnymi uszami—i tak się zakochał w Litwie, dla której go przeznaczyłem, że—patrzcie—zeni się tam, osiada.—Wszystko to, dobrodzieje moi, jak mnie widzicie, sam... ..

Nie było żywych słuchaczy przy panu Apolinarym, ale wymarzony powrót do stódek ze skojarzonymi ziomkami rozmowy już był bliski. Pociąg oddawna grzmiał przez noc i dojeżdżał już do Warszawy.

Budzisz z Wilna wysłał depezę do łona swego komitetu, oznajmiając o przyjeździe. Mógł się nawet kogoś ze swoich spodziewać na dworcu. Jakoż nie zawiódł się. Sam hrabia Kostka powitał serdecznie pana Apolinarygo na peronie; paru pomniejszych

przyjaciół znalazło się też w pogotowiu do uścisku.

Szło więc do oczekującego powozu Kostki towarzystwo okazałe, zadowolone z siebie, aż tłum ruchomy pasażerów rzucał ciekawym okiem na tę grupę, miarkując, że znowu ktoś taki przyjechał, o którym niewątpliwie będzie wzmianka w jutrzejszych dziennikach.

— Jakże tam? rusza się Litwa, co?—zadgnął Kostka.

— W kilku słowach, rozumie pan, trudno... Ale dość powiedzieć tymczasem, że jeden z najwybitniejszych ludzi za Niemnem i Wilią, mój przyjaciel, Gotard Assernhof...

— Assernhof? ten stary oryginał?

— I mąż do rady jedyny. Więc dość powiedzieć, że tak się do mnie odezwał przy pożegnaniu: odnowiłeś Unię, dobrodzieju mój!

— Bagatela! ale czy naprawdę?

— Ha, sam o sobie nie śmiałbym tego twierdzić.

Zaturkotał złośliwy bruk Pragi i onieśli rozmawiających. Za chwilę, po paru zakrętach ukazała się srebrna w pogodnej nocy Wisła, a za nią koronna Warszawa.

Duma stara, niepokonana biła od murów spiętrzonych strzeliście na prawo od mostu. Szło poważne od nich memento, niby znowu ujrzana sędziwa twarz rodzicielska, przychylna, ale zapytująca badawczo o nowe czyny. A na lewo, nad miastem młodszym, oznaczonym zaledwie kilku wytycznymi wzniesieniami architektury, unosiła się przeświecona kurzawa, łuna ciepła od ognisk pracy i uciechy. Czarna pod miastem Wisła odbijała nieskończonej długości szereg pobrzeżnych latarni.

Świątełka między murami igrały, obok powitalnej radości, jakąś ironią. Te z Powiśla, jak oczy głodne, tamte wyższe przenikliwe, elektryczne. „Jak się macie, kochane facety—a co z sobą przynosicie?” I te oczy młodszej Warszawy patrzyły przybywającym na ręce...

Gdy tak gadały stare i młode mury, Budzisz uczuł się i dumnym, i zmieszonym, i chyżym jeszcze do wieńca, i zmęczonym już trochę do pracy... Ale gdy most żelazny przedudniał i miasto ogarnęło wjeżdżających pokrzyżowanym zgiełkiem, jak parę much nowych, zaciągniętych do ogromnego roju, pan Apolinary uświadomił w sobie zdwojoną rozkosz bliskości ludzi jednomyślnych, skupionych z nim ciasno w powozie. Trudno żyć dla całych obszarów, choćby dla całego miasta; trzeba żyć ze swoimi i dla swoich.

I wyciągnął ręce radośnie do towarzyszy:

— No, dobrodzieje kochani, znowu jestem pomiędzy wami!

A jeden z dobrodziejów rozmyślał już od dworca kolejowego, jakaby tu urządzić owacyę zbiorową, polityczno-restauracyjną, dla Apolinarygo Budzisz, wracającego po swych pracach na Litwie.

## XXIX.

Zasypiała piękna Litwa, stygła pod wiatrem coraz chłodniejszym, zdzierającym liście; ścinały się jej wody kryształowym zamrozem, który ustępował jeszcze za dnia wzburzonym, mętym falom jezior, ale na noc zaciągał się znowu. Wkrótce już nie ustąpi. Ściągała drobna zwierzyna z pól do zaciszniejszych gąszczów, uciekając od zimna i słoty, pomimo grozy wnętrza puszczy, gdzie wilki i lisy, przebrane już w swe zimowe futra, przechadzały się, żarłoczne i harde, czując bliski karnawał. Krążył gdzieś podobno samotny, senny niedźwiedź, w poszukiwaniu legowiska; szybkie łosie zbijały się w stada solidarne; nieszkodliwy, ale i niezależny borsuk dreptał pojedynkiem, udając niedźwiedzia.

Ludzie więcej po zbiorach i siewach przeciągali spracowane ramiona, gospodynie suszyły ryby i grzyby, wędziły jałowcowym dymem mocno solone mięso świń i gęsi w kominach, albo, u bogaczów, w osobnych wysokich budynkach, na kształt wiatraków bez skrzydeł. Chaty, dworki i dwory zamykały się coraz szczelniej, otulały się przed tęgą, a jednak zdrową, bo szczerą zimą.

Nawet ludzie, nie dobywający rękoma swego pożywienia z ziemi, przemysłni inteligenci, odkładali na bok większe zamysły, aż do wiosny, dawali folgę lenistwu ciała i wyobraźni, grzęzli w gawędach kominkowych, w obrachunkach lub wspomnieniach.

Pierwszy śnieg spadł w Ponikszcie w nocy pod koniec listopada, a rankiem olśnił mieszkańców zmianą krajobrazu. Znikły wszystkie barwy szare i zgniłe, zaległa ziemię ogromna białość, równając pagórki, topiąc w sobie linie dróg i granic, nawet granice ziemi, odznaczonej zaledwie jasnością swą od mętniejszego nieba.

— Ten śnieg, tak on już poleży aż do ślubu panienci—mówił Piotr Lejtan do Krystyny, która, otulona płaszczem, wyszła z domu, aby zobaczyć park pod śniegiem, oporny jeszcze zwiędłymi barwami w gęstwinach.

Zima nie zasmucała jej wcale; miała być dla niej porą szczególnie świąteczną, porą jej ślubu, zapowiedzianego na styczeń. Był to już zamiar niezachwianie pewny, jak powrót wiosny. Stwierdzały go codzienne niemal listy, już i odpowiedzi rodziców Rokszyckiego, do których Krystyna wybierała się na święta Bożego Narodzenia do Warszawy. Kazimierz był także już dwa razy w Ponikszcie po uroczystościach wiszuńskich, w przejazdach z dalekich stron, rzucał się bowiem z Ziembowa do Petersburga, znowu do Wilna. Wszystko było obiecujące, rozkochane, szalone, chociaż przyszłość oparta na liczbach niewiadomych. Jeżeli las auszrański przynosi swą wartością długi, na nim ciężące, młodzi państwo Rokszyccy będą sobie panowali na Auszrze. Ale jeżeli nie—będą równie szczęśliwi, a bogaci dopiero tam kiedyś.



W parę dni po pierwszym śniegu zameldował się do dworku księdza Antoniego pan Franciszek Marczak, technik leśny. Krystynie uderzyło serce gwałtownie; od tego człowieka, a raczej od wyniku jego roboty zależało jednak wiele...

Wszedł do pokoju człowiek młody, krępy, z upartym, niskim czołem, niesympatyczny. Wręczył najprzód list od Kazimierza Krystynie, która przyjmowała go sama. Mówił twardo, bez wdzięku, nazywał Kazimierza „Rokszycem”, bez żadnych grzecznych epitetów. Wprawdzie w liście, który Krystyna zaraz otworzyła, stało na początku: „Posyłam kolegę mego i przyjaciela, pana Franciszka Marczaka”... Na wiarę więc tych tytułów przemawiała pani Krystyna do szorstkiego człowieka bardzo uprzejmie, ale on nie zdawał się być czułym ani na wdzięk niewieści, ani wogóle na gawędę. Zapytał, jak daleko do Auszry, oznajmił, że będzie mieszkał u leśnika Sidorkiewicza (stwierdził dokładność nazwiska w notatniku), że czynność zabierze mu 10 do 12 dni, że potrzebuje trzech ludzi do pomocy, że wyjeżdża zaraz na miejsce. Krystyna wyraziła chęć asystowania choć przez dzień jeden robotom; chciała prosić o niektóre rzeczy...

— Jak pani chce—odrzekł Marczak.—Instrukcję dokładną mam od Rokszyciego. Jeżeli byłyby jakie dodatkowe życzenia, proszę o nie zaraz, abym mógł je uwzględnić od początku czynności. Dzień mój kosztuje pieniądze.

(DCN)

E. JELEŃSKA:

## Za kurtyną.

Zapadła kurtyna—i była chwila ciszy. Aż buchnęły okrzyki. Zatrząsł się teatr cały. Od górnych galeryj do foteli na dole, od wysokiego stropu po przez balkony i łoża i parter szedł huk oklasków i krzyk przeciągły:

— Niemirska! Niemirska!

Wychylały się przez baryery twarze, całe rzędy twarzy rozpalonych, namiętnych. Tysiące dłoni poruszały się prędko, prędko, i w akompaniamencie suchych, a głośniejszych klaszków coraz donośniej huczało wołanie:

— Niemirska! Niemirska!

Aż się kurtyna uniosła z wolna. I na tle egipskich dekoracji stanęła ona, Aida. Piękna była. Więzienna była na niej szata biała, związana tylko jaskrawym pasem. Lecz królewski płaszcz czarnych, jak noc, włosów spływał po niej i mienił się w świetle rudawym, metalicznym, jakby żyjącym połyskiem. Na obnażonych ramionach błyszczały bransolety.

Stanęła przy rampie i twarz ku publiczności podniosła. Wielkie jej oczy, głębokie i aksamitne, z wolna przesuwały się po miotającym się w zachwycie tłumie u jej stóp, wznosiły się ku galeryjom wysokim, przesuwały się po strojnych łożach i znów opadały na wyfrakowane postacie mężczyzn, które się ku niej parły. Lecz usta jej zamknięte były surowo i nie rozsunęły się w uśmiechu. Stała poważna, spokojna, dając tłumowi widok swej postaci ku podziwianiu i ku zachwytowi, lecz zimna.

A krzyki rosły i szły ku niej, jak hur-

gan ognisty. Drżało powietrze rozpalone, teatr się trząsł, ludzie szaleli. Ona jedna była spokojna. Aż zaczęły sypać się kwiaty. Białe tulipany, róże cieliste i wonne, pęki fijołków i szkarłatne gwoździki. Padały do jej nóg, hold niosąc wdzięczny. Pochyliła się nisko, i oburącz całe brzemie ich zgarnęła. A wtedy wyprostowana, królewska, tuląc do piersi kwiaty, uśmiechnęła się do publiczności wdzięcznie serdecznie, poczciwie jakoś i słodko. I znikła.

Pani Tela Maszkiewiczowa wysunęła się z łoża tak, że aż groziła jej utrata równowagi. Klaskała małymi rączkami, ubranymi w białe rękawiczki, krzyczała ciekawym głosem aż do utraty tchu, rzucała najprzód kwiaty, jakie z sobą przyniosła, potem, gdy kwiatów nie stało, programy własne i sąsiadki. Chciała pudełko cukierków, ofiarowane jej przez kuzyna, porwać i także na scenę cisnąć. Lecz tu mąż, poza nią stojący, rękę jej powstrzymał. To ją trochę otrzeźwiło.

— Ach! Ach! Jakaż ona cudna! Ach, Maryla... moja droga Maryla... Przecież ja ją znam... Przecież ona jest moją... moją najdroższą przyjaciółką! Marylo! Marylo!—zawołała znowu—i znowu wychyliła się z łoża gwałtownie.

Lecz usiadła zaraz, bo uczuła się strasznie wyczerpaną. Nogi pod nią drżały, i serce biło mocno, mocno. Ach, mój Boże! tyle wrażeń! Przyjaciółka jej, koleżanka, towarzyska dzieciennych lat... I teraz oto przed nią... taka sławna, taka wielka artystka! Stoi tam w tryumfie, jak królowa, jak bóstwo jakie... Ach!... Pani Tela zamknęła oczy i głowę odchyliła.

Mąż się zaniepokoił.

— Co ci jest, Telo, Telusiu? Może ci się słabo zrobiło? Co? powiedz, kochanie... Tak było gorąco!..

Nachylił się nad nią.

Ona porwała się.

— Ależ nie! nie! Nic mi nie jest. Dajże pokój. Śmieszny jesteś, nic nie rozumiesz...



Wstępowała na wschody hotelowe.

Z. BADOWSKI

Wstała z krzesła i zwróciła się do kuzyna.

— Ach, jakaż ona szczęśliwa!—zaczęła mówić prędko—jaka szczęśliwa! Mój Boże! Cóż to za piękne życie! Jaka egzystencja wspaniała! Królować, wzruszać, porywać! Ach, Boże!

Teatr uciszał się z wolna. Ludzie zaczęli wychodzić.

Kuzyn zaśmiał się.

— Ależ kuzyneczka się egzaltuje! No, no!... Dobrze, że nie o jakiego pięknego tenora tu chodzi. Wiesz, Ignasiu—zwrócił się do Maszkiewicza—w danym razie nie byłbym na twoim miejscu taki spokojny.

Maszkiewicz uśmiechnął się, coś odpowiedział, obrzucił żonę czułym spojrzeniem i troskliwie zaczął naciągać palto na bufiaste rękawy jej bluzki i zapinać porządnie guziki.

A pani Tela pozwalała się ubierać i dalej mówiła:

— Ach, jaka ona być musi szczęśliwa! To jest dopiero życie! Nie ta nasza wegetacja, nie te codzienne troski. Nie! Tylko, poezja, sztuka, arcyzm! O, to dopiero życie!—I, wzięwszy podane sobie ramię kuzynka i zgarniając powłóczytą swą suknię, dodała:

— Ach, i pomyśleć... Pomyśleć, że ja także mogłam pójść tą drogą!

— Co? kuzyneczka! na artystkę?—zdziwił się jej towarzysz.

— A tak, tak! I ja miałam wielki talent, nie do śpiewu, lecz do muzyki. Gdyśmy były na pensji z Niemirską, uważane byłyśmy obie za najzdolniejsze uczennice. Była chwila, gdy zamierzałam wstąpić do konserwatorium, zupełnie byłam zdecydowana. Mój Boże, i czemuż tego nie zrobiłam!

— Prawda. Czemuż kuzyneczka, mając taki talent, tego nie zrobiła?

— Bo byłam głupia, tak, tak! i zakochałam się w Ignasiu. I wszystko dla niego poświęciłam: talent, sławę, przyszłość świetną! A teraz co?

Pani Tela pokiwiała tragicznie jasną główką.

Kuzynek ujął się za Ignasiem i za godnością małżeńskiego szczęścia.

— Jaktó, co? Teraz kuzynka ma idealnego męża, dwoje ślicznych dzieci, gniazdko rodzinne, kuzynka jest szczęśliwą żoną i matką...

— Ach, mój Boże!—przerwała niecierpliwie—żoną i matką! Nie każdej to wystarcza, nie! Są takie dusze... są takie organizacje... którym te domowe rozkosze prędko stają kością w gardle. Są takie, które wiecznie tęsknią do egzystencji wyższej... Takim nie wystarcza gniazdko... Ale takich—dodała ciszej—nikt zrozumieć nie chce...

— Biedny Ignaś!—pomyślał kuzynek. Lecz jednocześnie przycisnął mocniej ramię pani Teli, nadał swemu głosowi brzmienie głębokie i współczujące i, pochylając się nad nią, wyszeptał:

— Więc kuzyneczka... nie tego... w małżeństwie?...

Pani Tela westchnęła i mocniej się oparła o kuzynka. Ale na odpowiedź nie miała już czasu, gdyż towarzyszka ich z łoża, idąca za nimi z Maszkiewiczem, zaczęła się żegnać, bo wsiadała do dorożki. Gdy odjechała, poszli już razem we troje, i panowie, jakgdyby wcale nie byli na „Aidzie” i śpiewu Niemirskiej nie słyszeli, zaraz mówić zaczęli o jakichś bankowych papierach i obrotach, które ich obu obchodziły bardzo.

Pani Tela zapadła w milczenie. Tylko od czasu do czasu wdychała.





Artystka oparła brodę na dłoni.

ZYG MUNT BADOWSKI

Nazajutrz, przed południem, wstępowała na wschody hotelowe, wruszona i trochę nieśmiała. Ubrała się starannie, niż zwykle, na te odwiedziny. Złote jej włosy układały się w artystyczne zwoje pod kapeluszem. Figurka drobna i trochę za chuda już może szokowną jednak wydawała się bardzo w skromnym, lecz wykwinnym kostymie angielskim. Przechodząc mimo zwierciadeł, z zadowoleniem spoglądała na siebie.

Na jej pukanie do drzwi numeru zaraz odpowiedziano:

— Proszę!

I weszła do ładnego saloniku. Najprzód uderzyła ją silna woń kwiatów, których było pełno wszędzie. Potem ujrzała wstającą od biurka wysoką, przepiękną kobietę, ubraną w jasną i luźną suknię domową, i usłyszała głos:

— Tela! moja Tela!

I nagle znalazła się w jej objęciach.

— Telo! Telo! Tyle lat!

— Marylo... ach, Marylko droga! ach, jak miło... Byłam wczoraj w teatrze, myślałam, że z łoża wyskoczę, gdym cię zobaczyła...

— Nie wiedziałam nawet, że tu mieszkacie.

— Tak, już od trzech lat. Ach, jak dobrze, żeśmy się spotkały!

— Ach, jakże dobrze!

— Lękałam się, idąc, że cię nie zastanę, że śpisz może jeszcze, że mnie nie wpuszczą. Jesteś taką wielką osobą...—zaśmiała się pani Tela.

— O, dla ciebie, Telciu... A zresztą, ta wielkość moja... mój Boże!

Pociągnęła towarzyszkę ku kanapce, a sama poszła drzwi zamknąć na klucz.

— Niech nam nikt nie przeszkadza—rzekła—i przy niej usiadła.—Niema mnie w domu.—No, mów mi o sobie, mów, Telciu! Korzystajmy z chwili! Tak krótko tu zabawię. Trzy dni tylko—i dalej w świat.

Przez chwilę oczy jej czarne przysłoniły się długimi rzęsami, i na twarz ożywioną wy-

stąpił cień. Jakby chmura ciemna przeleciała po niebie i blask radości zgasła.

— Mów mi o sobie, mów—powtórzyła—mów! Co z tobą? Czy jesteś szczęśliwa? Wiem, żeś wyszła za mąż z miłości... prawda? Czy dobrego masz męża? Mów, czy cię on kocha?

Czarne oczy utkwiała w twarzy pani Teli i czekała odpowiedzi.

— Czy cię kocha?—powtórzyła.

— Ach moja droga—rzekła pani Tela—ależ naturalnie! Kocha mnie, kocha nadzwyczajnie. Świata Bożego za mną nie widzi. Bardzo dobry człowiek! Ja, dzieci, dom, a poza tem nic. Pracuje, oszczędza się, nie gra, nie pije, nie pali nawet, na żadną kobietę nie spojrzy, wciąż we mnie tak zakochany, jak pierwszego dnia. Ideał męża, moja droga!

Zaśmiała się trochę szyderczo.

Oczy Niemirskiej zabłyły.

— Ależ to jest... szczęście...—szepnęła.

— Aż śmiesznie—ciągnęła dalej pani Tela—po dwunastu latach kwiatki mi przynosi, jak naręczony. Nie mogę powiedzieć, że mi się coś podoba, bo zaraz chce to kupić. To nawet nie wypada tak, ludzie się wyśmiewają.

— A dzieci?

— O, dzieci mamy śliczne, śmiało to mogę powiedzieć. Ładne, dobre, zdrowe, zdolne. Dwie starsze dziewczynki już się uczą, są pociechą nauczycieli. A młodszy ma sześć lat! Powiadam ci, Rafałowski aniołek z Madonny Sykstyńskiej!

Niemirska wzięła obie ręce pani Teli.

— Więc, Telciu...—zaczęła—powiedz, powiedz mi: więc jesteś zupełnie szczęśliwa?

Pani Tela żywo się poruszyła.

— Ach, Marylo! I ty? Więc i ty także myślisz, że mąż i dzieci to dla kobiety wszystko? Nie przypuszczasz, że można poza tem czegoś pragnąć?

— Poza tem? Czego?

— Ależ... bardzo wielu rzeczy... Sławy, rozgłosu, szerszego życia. Ach, Boże! ty prze-

cie sama najlepiej wiesz. Ty sama nie ograniczasz szczęścia swego do męża i dzieci.

— Dzieci nie mam—odrzekła Niemirska— a mąż...

I naraz urwała i spuściła oczy.

— Wszystko jedno, gdybyś je nawet miała, nie to stanowiłoby szczęście twoje. Ty masz w życiu co innego. Masz talent, sławę, hołdy, powołanie własne. Imię twoje znane na całym świecie. Gdzie się pokażesz, tłumy szaleją, kwiaty się sypią. Serca porywasz, zachwycasz, upajasz. Budzisz miłość, czarujesz. Jak do bóstwa, modlą się do ciebie. To jest życie! To jest pełnia życia! Nie cztery ciasne domowe ściany, nie! Świat cały masz przed sobą. Ani trosk, ani kłopotów żadnych, ani drobiazgów. Tylko piękno, sztuka, własna potęga i królowanie! Ach, Marylo! To jest dopiero szczęście!

Pani Teli tchu w piersi zabrakło. Podniosła zarumienioną twarz ku towarzyszce.

Ale na twarzy artystki osiadała coraz ciemniejsza chmura.

— Tak sądzisz, Telo?—spytała poważnie, i usta jej zacięły się surowo.

— Ależ naturalnie! Przyznasz chyba, że jesteś szczęśliwa. O, chyba najszczęśliwsza z kobiet! Masz wszystko, o czem tylko marzyć można. Czegoż ci jeszcze brak?

— Czegoż mi jeszcze brak...—powtórzyła Niemirska.—Miłości!—dodała ciszej.

I nagle dwie łzy stoczyły się z jej oczu i padły na koronki u piersi.

Pani Tela zamilkła na chwilę, zdumiona.

— Miłości?—rzekła wreszcie.—Jako! Miłości brak ci, Marylo! Ależ, mój Boże, dość spojrzeć na twarze tych mężczyzn, którzy się do ciebie cisną, na ich roznamiętione oczy, gdy na ciebie patrzą. Przecież oni wszyscy gotowi lecieć za tobą na złamanie karku, oni wszyscy szaleją za tobą... Nie tylko śpiewem swym, lecz pięknnością ludzi czarujesz, Marylo. Oni się wszyscy kochają w tobie!

— Ach, wiem...—I Niemirska wruszyła ramionami.—Ale ja *ich* miłości nie potrzebuję, nie chcę.

— Więc czegoż chcesz?

Artystka oparła brodę na dłoni, i, utkwivszy oczy gdzieś wysoko, w to niebo błękitne, które przez okno widziała, mówić zaczęła:

— Ja chcę domowego, cichego szczęścia. Kłamałabym, mówiąc, że nie dbam o swe powodzenie i że mnie ono nie cieszy. Owszem, cieszy mnie to, że jestem wielką artystką, że mnie wielbią i cenią i że są takie chwile, gdy nad ogromnym tłumem panuję. Owszem, to mnie cieszy. Ale czyż ty myślisz, że to daje szczęście? Ach! nie, nie! Moje szczęście w miłości. Nie w tej, którą mi ofiarowują na każdym kroku mężczyźni, bankierzy, hrabiowie, złota młodzież, lecz w wiernej, szczerzej, przyjacielskiej i pocziwej miłości. Takiej przez całe życie pożadam. I tej nie mam...—szepnęła. I oczy jej zaczęły powlekać się mgłą.—Bo ten, którego kocham—dodała cichutko—nie dba o mnie, nie kocha mnie...

Urwała nagle. Nastąpiła chwila milczenia.

— Och, Marylo!—zawołała pani Tela—Jakże to być może! Któż to jest? Kto?

— Kto? Mój mąż—odparła Niemirska.

I, głowę chowając w dłonie, artystka zalała się łzami.

**Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego“ prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.**



# Zwycięstwo naszego przemysłu gramofonowego.

Niedawne to jeszcze czasy, gdy płyty do gramofonów trzeba było sprowadzać tylko z zagranicy, a przeważnie z Niemiec. Miłośnik muzyki gramofonowej musiał je nabywać z „dobrem inwentarza”, a więc ze wszystkimi wadami, do których należą szum i niewyraźne tony.

Obecnie, dzięki istnieniu w Warszawie Pierwszej Krajowej Fabryki parowej gramofonów i płyt gramofonowych z marką „Syrena-Rekord”, stosunki pod względem jakości płyt, oraz repertuaru zmieniły się nie do poznania.

W celu zapoznania czytelników ze stanem obecnym produkcji płyt najlepszych i mających u odbiorców największe powodzenie, pomówimy o zakładach „Syrena Company”.

Zaznamy przede wszystkim, iż założycielem firmy, która, jako skład narzędzi muzycznych, istnieje w Warszawie od roku 1859, jest jej dotychczasowy właściciel, p. Jul. Feigenbaum. To znaczy, że firma właśnie w roku bieżącym obchodzi półwiekową rocznicę istnienia, co w naszych stosunkach przemysłowych stanowi objaw dość niepowszedni, a razem przemawiający o solidności firmy.

A że praca jej była owocna i pożyteczna, świadczą otrzymane przez nią na rozmaitych wystawach odznaczenia. Do takich należą: Grand Prix, oraz wielki medal złoty w Paryżu, wielki medal srebrny w Moskwie i wreszcie wielki medal złoty, specjalnie za płyty gramofonowe, na świeżo zamkniętej wystawie przemysłowo-rolniczej w Częstochowie.

Pomówmy o środkach technicznych, jakimi firma „Syrena Company” rozporządza.

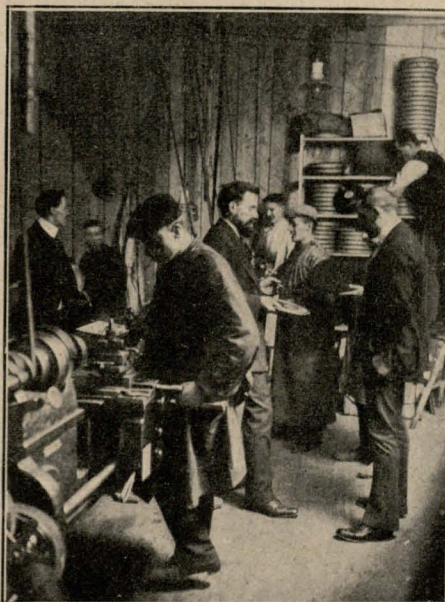
W kantorze głównym przy ul. Marszałkowskiej nr. 153 odbywa się sprzedaż gramofonów i płyt. Tych ostatnich, z własnymi zdjęciami, firma posiada obecnie około 500 sztuk. Dorobek ten, wciąż uzupełniany i dopełniany coraz świeższymi zdjęciami, już od dawna zaćmił wyniki fabryk zagranicznych.



Skład gramofonów i płyt przy kantorze głównym na ulicy Marszałkowskiej Nr 153.

Śmiało rzec można, iż żadna z nich nawet połowy tego repertuaru nie posiada.

Zarząd fabryki pilnie śledzi wszelkie nowości z zakresu programu teatralnego i estra-



Wykończanie klisz-matryc. Klisze przed reprodukcją przechodzą przez kontrolę dyrektora i inżyniera.

dowego. Z pomiędzy artystów polskich, jacy do tej pory uświetniali repertuar fabryki, należy wymienić: Dygasa, Ostrowskiego, Borkowskiego, Redę, Messalównę, Tracewską, ulubionego monologistę Fertnera, Pawłowską i in. Zdjęcia na płyty są dokonywane w fabryce, specjalnie urządzonej. Tu również znajdują się oddziały preparowania i wykończania płyt. Fabryka zatrudnia 75 pracowników, pod wodzą dyrektora technicznego, wybitnego specjalisty. Zakład utrzymuje własną orkiestrę do wykonywania utworów muzycznych, oraz do akompaniowania śpiewakom w miarę potrzeby. Orkiestra składa się z najlepszych artystów Teatru Wielkiego i Filharmonii i pozostaje pod kierunkiem dwóch stale angażowanych kapelmistrzów. Fabryka pierwotnie zaopatrywała w płyty

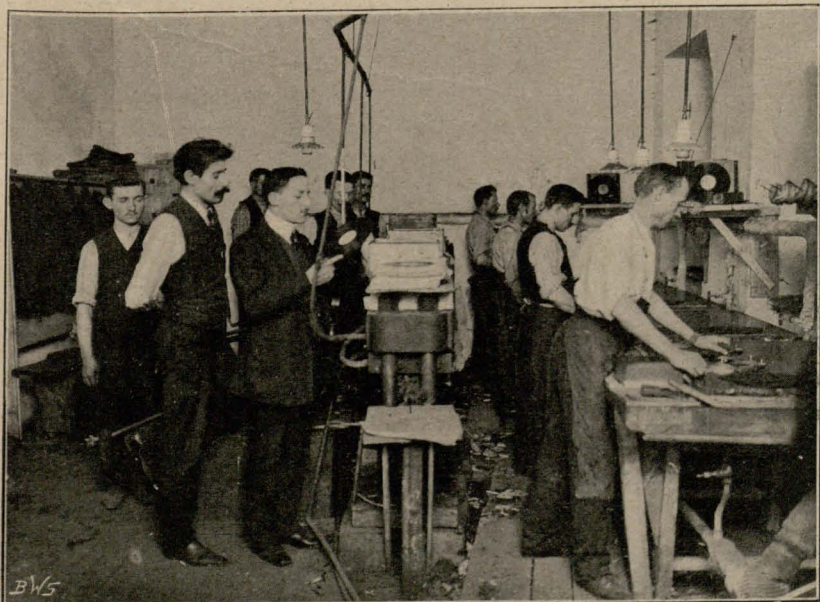
niemal wyłącznie rynki Cesarstwa. Obecnie produkcja jest obliczona na usługi Królestwa Polskiego.

Można rzec bez przechwałki, że usiłowania w celu wyparcia z obiegu fabrykatów niemieckich już w ciągu krótkiego czasu zostały uwieńczone pomyślnymi wynikami. Publiczność nasza zarówno miejscowa, jak i prowincjonalna, zaopatruje się w nasze nowości repertuarowe i ma sposobność słuchania produkcji najpopularniejszych ulubieńców sceny i estrady.

Powodzenie, jakiego firma „Syrena Company” doznaje, tem bardziej zachęca ją do rozwijania i udoskonalania swojej działalności. Włożona w przedsiębiorstwo poważna suma ćwierć miliona rubli, wobec gwałtownej potrzeby rozszerzenia produkcji już się okazuje nie wystarczającą.

Firma, obecnie pozostająca w rękach jednego właściciela, wkrótce będzie zamieniona na Towarzystwo akcyjne, a wtedy wraz z większym jeszcze rozwojem przemysłu krajowego fabryki zagraniczne, a zwłaszcza niemieckie, oczekiwać będzie tem silniejsza konkurencja.

A. W...SKI.



Prasowanie płyt. Prasy hydrauliczne i stoły na parze.



Ekspedycja.



## Z WYSTAWY W CZĘSTOCHOWIE.



W sobotę, dnia 2 b. m. firma „Bogusław Herse” urządziła dla swych pracowników zbiorową wycieczkę do Częstochowy. Uczestników wycieczki było przeszło 300, a liczba ta obejmowała: pracownię, część personelu administracji i służby, oraz garstkę najbliższych członków niektórych rodzin pracownic. Wycieczkę przewodniczyła p. Wanda Herse, chętnie zawsze biorąca udział we wszystkim, co bliżej interesuje pracowników firmy.

Uczestnicy wycieczki po przybyciu do

Częstochowy, rano w niedzielę rozpoczęli dzień nabożeństwem na Jasnej Górze, gdzie w kaplicy obecni byli przy odsłonięciu obrazu cudownej Matki Boskiej, poczem cała liczna drużyna udała się na wystawę.

Zwiedzanie poszczególnych pawilonów, budzących nader żywe zainteresowanie wśród uczestników wycieczki, przerwane zostało około godziny 2-ej wspólnym obiadem, zastawionym w domu ludowym na placu wystawy.

W najlepszym nastroju dokończono dnia

na wystawie. Wracano do Warszawy pod wrażeniem, zostawiającem jak najmiłsze wspomnienia, utrwalone podzięką, złożoną p. Wandzie Herse za pośrednictwem *Kuryera Warszawskiego*.

Firma „Bogusław Herse”, istniejąca już pół wieku blisko, świeci zawsze przykładem wyrównanego, przyjaznego stosunku chlebodawców do pracowników, odwzajemnionego ze strony tych ostatnich zaufaniem i uznaniem szczerem.

## ZAKŁADY MECHANICZNE Kruszyński i S-ka

w Sosnowcu

ISTNIEJĄ OD ROKU 1898.

Prowadzone pod kierownictwem

**JÓZEFA KRUSZYŃSKIEGO**

WYKONYWUJĄ:

Dział I. Urządzenia sanitarne. Wodociągi i kanalizacje. Kąpiele i łaźnie. Ogrzewania centralne i wentylacje. Pompy i przyrządy hydrauliczne.

Dział II. Konstrukcje żelazne: wiązania dachowe, filary żelazne, hale, pawilony, werandy, altany; ogrodzenia żelazne; balkony, bramy, schody, windy, balustrady; urządzenia sklepowe i okna żelazne. Wieże kościelne i krzyże.



Kabina zakładów mechanicznych firmy Kruszyński i S-ka w Sosnowcu, na wystawie w Częstochowie.

Dział III. Ogrodzenia cmentarne, krzyże, pomniki i t. p.

Dział IV. **Wyroby artystyczne:** ozdobne okucia do drzwi kościelnych, oprawy do dzwonek kościelnych, żyrandole, świeczniki, kandelabry, lichtarze i t. p. Herby, rami do portretów i lusterek, stoliki, etażerki, garnitury biurowe, podstawy do albumów, ekrany, parawanki i t. p.

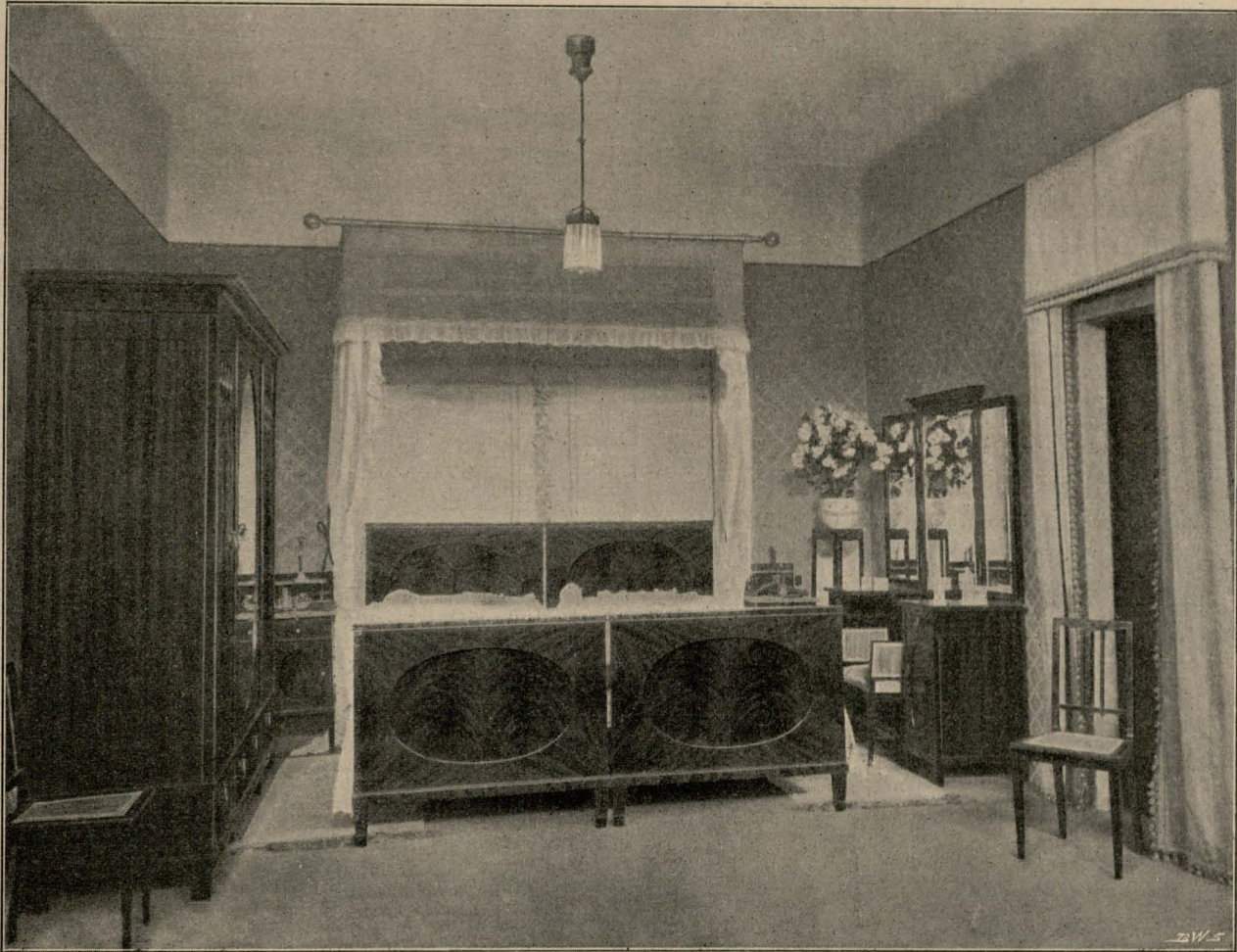
Dział V. Urządzenia górnicze.

Dział VI. Wszelkiego rodzaju reperacje, jako to: maszyn, aparatów, wag kolejowych i t. p.

Skład artykułów technicznych. Dostawa do fabryk i kopalń.

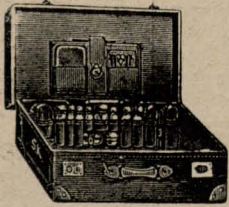
Firma nagrodzona została na Wystawie Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie **medalem srebrnym**, majster, Kazimierz Tymoszek — listem pochwalnym i pracownicy: Górawski, Mrozicki, Ruciński i Gawrys — słowami zachęty za roboty żelazne artystyczne.





POKÓJ SYPIALNY W STYLU EMPIRE-MODERNE Z DRZEWA MAHONIOWEGO (acajou flambé), WYKONANY W WARSZTATACH FIRMY **ZAŁĘSKI i S-ka (ERYWAŃSKA Nr 2)** NAGRODZONY WIELKIM SREBRNYM MEDALEM NA WYSTAWIE CZĘSTOCHOWSKIEJ.

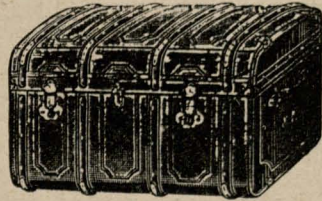
N A D E S Ł A N E .



**STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>**

FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBÓRÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MAGAZYN KRAWIECKI  
**SZWAŁBE SACHS<sup>KA</sup>**  
ANGIELSKIE PALTA i GARNITURY  
GOTOWE i NA OBSTALUNEK  
SENATORSKA 8. TELEFON 6717

**GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY**  
**D-ra ROBERTA BERNHARDTA**  
ordynatora szpitala św. Łazarza.  
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.  
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektroliczą, Arsonizacyą. Choroby weneryczne.

**MYDŁO Z MLEKA-LILIOWEGO „KONIK”**

BERGMANN i S<sup>ka</sup>. RADEBEUL - DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-świeży wygląd,  
czystą, białą, miękką jak jedwab skórę  
oraz delikatną, osłepiająco piękną cerę.

Po 50 kop. dostac można wzędzie.  
Główny skład na Państwo Rossyjskie:  
**BIURO CHEMICZNYCH PREPARATÓW**  
ST. PETERSBURG, Newski 28, dom Singera.



Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.

**KALODONT**

Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby bialo, czysto i zdrowo.

Żądać wszędzie

**ŚRODKI do ZĘBÓW**

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA  
Ojców

**BENEDYKTYNÓW**  
Opactwa SOULAC

**WAŻNA UWAGA :**

Flakony eliksiru Benedyktynów nie  
opatrzone plombą komory celnej rossyjskiej  
powinny być uważane za podrobione.



MODEL FLAKONU



# SALA FILHARMONII

sezon koncertowy 1909—1910 roku.

DYREKCJA WARSZAWSKIEJ ORKIESTRY SYMFONICZNEJ

J. O. Księcia Władysława Lubomirskiego, ogłasza niniejszem

## ABONAMENT

na dwie serye wielkich symfonicznych koncertów z udziałem solistów, oraz Warszawskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyrekcją

### GRZEGORZA FITELBERGA.

Każda serya abonamentowa składać się będzie z pięciu koncertów:

#### ABONAMENT A.

- |                          |   |
|--------------------------|---|
| 1. Koncert w piątek dnia | 22 października z udziałem Józefa Hofmana (fortepian).  |
| 2. " " "                 | 5 listopada, 2-gi akt „Tristana i Izoldy“ Wagnera, z udziałem Felicji Kaszowskiej (sopran), Karoliny Pietraszewskiej (mezzosopran), dr. Ottona Briese-meistra (tenor) i Adama Ostrowskiego (bas). |
| 3. " " "                 | 19 listop. z udział. Jana Kubelika (skrzypce).  |
| 4. " " "                 | 3 grudnia z udziałem Jacques Thibaud (skrzypce).  |
| 5. " " "                 | 17 grudnia z udziałem Henryka Melcera (fortepian).  |

#### ABONAMENT B.

- |                          |   |
|--------------------------|---|
| 1. Koncert w piątek dnia | 7 stycznia z udziałem Ysaye'a (skrzypce).   |
| 2. " " "                 | 28 stycznia z udziałem Pablo Casals (wiolonczela).  |
| 3. " " "                 | 11 lutego z udziałem Raula Pugno (fortepian).   |
| 4. " " "                 | 4 marca z udziałem Lucille Marcel (śpiew) i Feliksa Weingartnera (dyrekcja).  |
| 5. " " "                 | 1 kwietnia 3 ci akt z „Siegfrieda“ Wagnera z udziałem Felii Litvinne (sopran), Fryderyka Feinhalsa (baryton) i Jana Tenzlera (tenor). |

#### CENY MIEJSC:

KRZESŁA	Ceny pojedyncze	Ceny w abonam.	BALKON	Ceny pojedyncze	Ceny w abonam.
Rzędy 1—6	6 rb. 4 k.	18 k.	Rząd 1	3 k.	13 k. 50
" 7—13	3 " 50	15 " 75	" 2	2 " —	9 " —
" 14—20	2 " 50	11 " 25	Pozostałe	1 " —	4 " 50
" 21—28	2 " —	9 " —			
" 29—34	1 " 50	6 " 75			
Krzesła boczne:			GALERYA.		
Bliższe	2 " 50	11 " 25	Rząd 1	1 " —	4 " 50
Dalsze	1 " 50	6 " 75	Pozostałe	0 " 75	3 " 38
			ŁOŻE.	16 " —	72 " —

UWAGA: Do każdego miejsca aż do rubla włącznie dolicza się na ubogich 5 kop. od koncertu, wyżej zaś rubla—10 kop. Prócz tego, dolicza się za szatnię 5 kop. na galerii, 10 k. na in. miejscach.

Zamówienia na abonamenty przyjmuje Kasa koncertowa w gmachu Filharmonii od 1 października codziennie między godziną 10-tą a 3-cią po południu, oraz od godz. 5-jej do 7-jej wieczorem.

## ABONAMENT na dwanaście koncertów symfonicznych

### GRZEGORZA FITELBERGA.

Do programów wejdą następujące utwory mało lub wcale nieznanne w Warszawie:

- |   |  |
|---|--|
| 1. Dworzak—koncert skrzyp. (1 r.).  | 22. Walek-Walewski—„Paweł i Gawel-humoreska (1 raz).                 |
| 2. Fibich—2 Symfonia Es-dur (1 r.).   | 23. Bach—Koncerty brandeburskie. № 1—F-dur.                          |
| 3. Fitelberg—5-ta Symfonia.   | № 2—F-dur (1 raz).   |
| 4. Glazunow—2-ga Symfonia (1 r.).   | № 3—G-dur (1 raz).   |
| 5. Karłowicz—„Dramat na maskaradzie“ (dzieło pośmiertne zinstrumetowane i zakończone przez p. G. Fitelberga). | № 4—G-dur (1 raz).   |
| 6. Melcer—Fantazyja na fortepian z orkiestrą (1 r.).  | 27. Bantock—„Le Pierot of the Minute“ (1 raz).                       |
| 7. Noskowski—Symfonia „Od wiosny do wiosny“.  | 28. Berlioz—Scherzo z Symfonii dramatycznej „Romeo i Julia“ (1 raz). |
| 8. Novak—„Wieczorna tęsknota“ (1 r.).   | 29. Brahms—Koncert na skrzypce i wiolonczelę (1 raz).                |
| 9. Opieński—„Lilla Weneda“.   | 30. Charpentier „Wrażenia włoskie“ (1 r.).                           |
| 10. Paderewski—Fantazyja polska.  | 31. Debussy—„Morze“—Trzy szkice symfoniczne (1 raz).                 |
| 11. Rachmaninow—„Wyspa umarłych“, podł. obr. Böcklina (1 r.).   | 32. Delius „Sea Drift“ (Morze) (1 raz).                              |
| 12. Rogowski—„Siedm księżniczek“, poemat symfoniczny podł. Maeterlincka (1 raz).                              | 33. D'Indy—„Walenstein“—Trylogia (1 raz).                            |
| 13. Różycki—„Anieli“ podł. Słowackiego (1 raz).   | 34. Dukas—Symfonia C-dur (1 raz).                                    |
| 14. Rytel—Symfonia (1 raz).   | 35. Elgar—Symfonia As-dur (1 raz).                                   |
| 15. Statkowski—Uwertura z opery „Maryja“.   | 36. Händel—Concerto grosso № 3—e-moll (1 raz).                       |
| 16. Stojowski—Symfonia.   | № 6—g-moll (1 raz).  |
| 17. Skrabbin—„Ekstaza, Poemat symfoniczny (1 raz).  | 38. Mahler—Symfonia G-dur (1 raz).                                   |
| 18. Suk—„Baśń kata“ (1 raz).  | 39. Reger—Serenada (1 raz).  |
| 19. Surzyński—Koncert organowy z orkiestrą.   | 40. Sibelius—„Eine Sage (1 raz).                                     |
| 20. Szopski—Fragment z op. „Lilje“.   | 41. Strauss—„Don Quixote“ (1 raz).                                   |
| 21. Szymanowski—Symfonia B-dur (1 r.).  | 42. Strauss—Serenada na instrumenty dęte (1 raz).                    |

Koncerty odbywać się będą w piątki następujące:  
W 1909 roku—15 października, 29 października, 12 listopada, 26 listopada i 10 grudnia; w 1910 roku—14 stycznia, 21-go stycznia, 4-go lutego, 18 lutego, 25 lutego, 11-go marca i 18 marca.

#### CENY MIEJSC:

KRZESŁA	Ceny pojedyncze	Ceny w abonam.	BALKON	Ceny pojedyncze	Ceny w abonam.
Rzędy 1—6	6 rb. 2 k.	21 k. 60	Rząd 1	1 k. 50	16 k. 20
" 7—13	3 rb. 1 k. 50	16 k. 20	Rząd 2	1 k. —	10 k. 80
" 14—23	2 rb. 1 k. —	10 k. 80	Pozostałe	0 k. 50	5 k. 40
" 29—34	0 k. 75	8 k. 10			
Krzesła boczne:			GALERYA	0 k. 40	4 k. 32
Bliższe	1 k. 25	13 k. 50	ŁOŻE	8 k. —	86 k. 40
Dalsze	0 k. 75	8 k. 10			

UWAGA: Do każdego miejsca aż do rubla włącznie dolicza się na ubogich 5 kop. od koncertu, wyżej zaś rubla—kop. 10. Prócz tego, dolicza się za szatnię kop. 5 na galerii, kop. 10 na innych miejscach.

Zamówienia na abonamenty przyjmuje Kasa koncertowa w gmachu Filharmonii od 1-go października codziennie między godz. 10-tą i 3-cią po południu, oraz od 5-jej do 7-jej wieczorem.

## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Beata w Sosnowcu.* Dla siwiejącej blondynki jedyna farba, nie dająca tęczy od cieni, jest *Excelsior*, trzeba jednak wyraźnie nadmienić, że to do włosów, gdyż istnieje *Excelsior* do brwi, barwiący je trwale na ciemny kolor, o ile są włosy na brwiach. Przed użyciem tego płynu trzeba włosy umyć mydłem *Alkalicznem* i mydła tego używać tylko do tego celu.

*Cygance.* Włosy z twarzy usunie *Depilatoire* w parę minut. Ręce przemrożone wyleczy *Frost-Mitina*, używana na noc, łącznie z rękawiczkami kosmetycznymi, nienasycającymi. Rano myć ręce mydłem *Neutralnem*. Zimnej wody nie używać.

*Czytelniczko z Drezna.* *Abarid* jest preparatem francuskim, otrzymywanym z wycisku galaretowatego cebulek białej lillii, ma własność zjedrzenia mięśni twarzy, przez co zapobiega tworzeniu się zmarszczek. Bliższych informacji udzieli Pani Aventura tego specyfiku: adres Warszawa *Perfection* Szpitalna 10.

W. K. Wągry radykalnie usuwa *Pureol*, pomaga nadzwyczaj *wanna parowa* do twarzy.

*Dla S. T.* Mydło *Gossa* jest nieszkodliwe, podbródek usunie stanowczo, należy prócz tego używać przepaskę specjalną na podbródek, zwaną *Reducteur*, naturalnie na noc. Rzetelnego środka na porost rąs nie ma, najlepszy, jak dotąd, jest *Seve Sourcilieres*.

*Pannie Wandzi.* Te złote plamy zniszczy krem *Dra Orgley*. Na rozdławiające się włosy zupełnie skutecznym środkiem jest olejek *Hcl*, przyczem końce włosów trzeba przypalać na koniuszyczkach, można to robić, codzień jedno pasemko operując. Na piękność rąk krem *Psyche*.

*Mercédès.*

## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

### Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Swiat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26 Telefonu 167.49.

## LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 67

## GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

Dra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

## HURTOWY I DETALICZNY SKŁAD SUKNA I KORTÓW

### LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.

## HENRYK MICHAUX LEKARZ DENTYSTA

Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

## GEBETHNER i WOLFF

PIANINA I FORTEPIANY W WARSZAWIE KRAK.-PRZEDM. 17



## Magazyn Sukien i Okryć Damskich Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spodnie do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

# PATENTY

NA WYNALEZKI „Włodarkiewicz i Sieklucki” Włodzimierska 16, Egz. od 1886 r. Wł. inż. W. Jakubowski.

## Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.